BIBLIOTEKA BELLETRYSTYCZNA

ONOTO WATANA

ANIA KSIĄŻ
95
Groszy

SŁOWICZEK JAPOŃSKI

POWIEŚĆ

Digitized by the Internet Archive
in 2015

https://archive.org/details/sowiczekjaposkip00wata

AR5281 20
Canadian author
"Onoto Watona"
pseud. of Winifred Ree
A Japonese Blossom
A Japonese Nightingale

SŁOWICZEK JAPOŃSKI

BIBLJOTEKA
BELETRYSTYCZNA

TOM II

ONOTO WATANNA

SŁOWICZEK JAPOŃSKI

POWIEŚĆ

TŁOMACZYŁ
CZ. KĘDZIERSKI.

JUN 16 1930

POZNAŃ
BIBLJOTEKA BELETRYSTYCZNA
FR. GUTOWSKIEGO

CZCIONKAMI DRUKARNI L. KAPELI, POZNAŃ

I.

Taniec burzy.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca barwiły ziemię i blaskiem swym złociły zatokę. Morze pochwyciwszy połysk złoty, usiłowało go przytrzymać kurczowo, niby skąpiec nigdy nie syty; ale zapadające słońce nieubłaganie odbierało z powrotem lśniące swe blaski, pozostawiając na miejscu ciemno-zieloną toń morza. Cienie stawały się coraz gęstsze, nieśmiało pierwsze zamigotały gwiazdy na niebie, i ostatni promień dnia podążył za układającem się do spoczynku słońcem powoli, leniwie, zda się niechętnie. Ukazał się księżyc blady i na padoł ziemski rzucił swe światło seraficzne.

Hen w zatoce, którą słońce dopiero co opuściło, maleńka wznosiła się wyspa. Na niej to pewien kupiec japoński, który sztukmistrzem był równocześnie, urządził herbaciarnię i piękny założył ogród. Co to była za wyspa! Widząc ją skąpaną w czarującej poświacie księżycowej, można było łatwo uledz złudzie, że jest ona dziełem jakiego czarnoksiężnika Wschodu. We wszystkich kierunkach ciągnęły drogi dla dżinrikiszów,*) nie-

*) Dżinrikisza — także „Kuruma" — lekki wózek o dwu kołach, ciągniony przez człowieka-biegacza.

rzadko poprzez zachwycające mosty, rzucone nad pieniącemi się strumykami. Mosty miały kształt półkolisty, były wysokie a w środku zgięte w kabłąk, a po ich bokach wiły się w fantastycznych skrętach dzikie wino i pnącze rozliczne, bez nazwy, pięły się w górę i pełzały po stopniach misternych, wiodących do mostów. Kto raz bodaj przeszedł przez most taki, ten od mostu prostego i płaskiego odwracać się już będzie, jako od czegoś, co razi oko i kaleczy poczucie piękna. A na plaży tej wyspy znajdował się piasek nieskalanej białości, który w magicznym ukazał się odblasku, gdy zajaśniały smugi księżycowe i w cieniu drzew rozpoczęły zabawę w chowanego.

Żądni zabawy, którzy nocy tej popłynęli do wysypki, przytroczywszy łodzie u drzew nadbrzeżnych, wsiedli do pięknych dżinrikszów ciągnionych przez malowniczo ubranych biegaczy. Jechali dokoła wyspy pomiędzy świerkami poprzez minjaturowe strumyki w tajemniczą czerń lasu. Nagle znaleźli się wśród potoków świateł różnobarwnych, spływających z kołyszących się u gałęzi drzew lampjonów, wśród śmiechu, muzyki i rozgwaru, wśród pobrzęku talerzy, wśród przenikliwych dźwięków biwa*) i urywanych bębniących tonów samiseny **) Byli w ogrodzie harbaciarni.

Kilku pełnych ochoty do życia Japończyków urządziło na cześć pełni bankiet, w którym księ-

*) Biwa — instrument muzyczny w rodzaju mandoliny, ulubiony zwłaszcza w prowincji Satsuma.

**) Samisena — instrument japoński w rodzaju gitary, o trzech strunach.

żyć uczestniczył osobiście. Odziany w wspaniałe szaty, na tronie niebiańskim z lśniącego srebra, otoczony świtą, składającą się z mirjadów migocących gwiazd, unosił się akurat ponad głowami uczestników bankietu. Każdy z gości miał własną małą matę, stolik i jedną „esan" — dziewczę do swej obsługi. Siedzieli w półkolu i popijali gorący „sake"*) z maleńkich filiżaneczek, których ze trzydzieści albo i więcej wypełnić mogło zaledwie pół litra. Na stołach znachodziło się i piwo — „kyoto". zamówione dla cudzoziemców, którzy tego wieczoru wśród przybyłych tu gości stanowili znaczną większość. „Niechaj wychyli z nami czarkę nieśmiertelności!" — oto był toast, jaki wznoszono na cześć księżyca, poczem każdy życzył swemu sąsiadowi dziesięć tysięcy lat radości.

Teraz powiększyła się poświata księżycowa nad zatoką, księżyc zdawał się rozszerzać i świecić z większą mocą, jak by chciał dać wyraz swej wzniosłej życzliwości i zrozumieniu dla wszelkich tych tysięcy bankietów, jakie urządzano dziś ku jego czci. Muzyka, wrzawa i wesołość przycichły powoli i na czas pewien zapanowała wszędzie cisza wymowna. I było tak, jak gdyby olbrzymie świetliki latające w wielkiej ilości niby minjaturowe żarzące się gwiazdki, stanowiły jedyne tu żywe jestestwa.

Ktoś tam czynił jakoweś przygotowania: naprawiał świece w lampjonach, wielką matę rozpo-

*) Sake — ulubiony trunek japoński, alkohol wytłoczony z ryżu.

starł w pośrodku ogrodu i czyścił ją mąką ryżową. Potem z górnej części domu ogrodowego padła wprost na matę smuga światła, która zdawała się być złożona z tysiąca promieni księżycowych, — i z cieniów wybiegła na matę niezmiernie ruchliwa mała dzika postać, ubrana w szaty połyskujące, błyskotliwe. I z chwilą jej pojawienia się rozdzwoniła się w powietrzu czarująca wręcz, tajemnicza muzyka „koto“*) i „samiseny“.

Na czubkach palców arcydrobnej nóżki zawirowała z zawrotną szybkością, i klaszcząc w ręce złożyła ukłon w cztery strony świata. A słaniając się tak naprzód i wstecz, wykonywała raczej taniec brzucha niż nóg. Jedynie jej małe nożyny uderzały przedziwnie rytmiczne trap-trap-trap. Jej kostjum zdawał się być czemś żywem, przybierającem wyraz melancholijnej troski; smuga światła goniła jej ruchy; z dźwięków muzyki dobywały się westchnienia ciężkie i łkania. Zaczęło padać. To ona naśladowała plusk deszczu! Ulegało się niemal złudzie, że to nie stukot jej drobnych stóp lecz szelest ciężkich kropel deszczowych; szaty jej stawały się jak gdyby posępniejsze, deszcz padał najpierw powoli, potem coraz silniej i szybciej, aż wreszcie przeszedł w burzę, — w czarną, rozszalałą burzę z błyskawicami i grzmotem. Z góry strzelało światło w promieniach rozdartych, szybkich, ostrych, błyskawicowych, bębenki roztrzęsione powodowały wrzawę opętańczą, koto łkała i wrzeszczała samisena.

*) Koto — instrument muzyczny w rodzaju harfy.

Nagle burza poczęła słabnąć i niebawem ustąpiła zupełnie. Teraz na bujającą lekko postać padła smuga światła błękitnego, które niebawem zamieniło się w siedmiobarwny łuk tęczowy. Rozpostarła swe szaty i oczom widzów ukazała się twarz dziewczęcia niewysłowionej piękności; uśmiechając się, złożyła ukłon. Potem zagasło światło — zniknęła.

Z ust Japończyków i cudzoziemców zerwał się powszechny okrzyk podziwu i zachwytu. Wywoływali ją, klaskali w ręce, tupali nogami, świstali i wydawali radosne okrzyki. Lecz ponad całą tą wrzawą entuzjazmu zapanował wkrótce w ogrodzie donośny głos jakiegoś mężczyzny. Podniecony do ostateczności przywoływał gospodarza, aby dowiedzieć się o nazwisko tajemniczej tancerki.

Ale gospodarz łamał się w nieustannych uniżonych ukłonach i uśmiechał się z zadowolenia, lecz mimo to nie chciał wyjawić niczego.

Amerykański dyrektor teatru stracił na chwilę równowagę. Dziewczęciu temu mógł był zapewnić w Ameryce fortunę i szczęście! Słyszał niegdyś, że nabycie geiszy drogą kupna na szereg lat jest rzeczą możliwą. A on chce właśnie to uczynić, jest gotów dobrze zapłacić. Kto ona i gdzie mieszka?

Tymczasem biczujące nerwy czin-czin samiseny przepełniało powietrze z męczącą jakąś uporczywością. Jest w dźwiękach samiseny coś wyzywającego a mimo wszystko coś, co pociąga i nęci. Wywołują one dreszcz podobnie jak drapanie szkła o kamień, co doprowadzić może do szaleństwa;

a jednak mieści się w tem pewnego rodzaju czar nieopisany i wiele piękna. Gdy wreszcie hałaśliwa wrzawa ogrodu nieco przycichła, a tylko jeszcze rozlegał się dźwięk instrumentów, złączył się z muzyką samiseny w sposób początkowo ledwo dostrzegalny, głos cichy, subtelny, pieszczotliwy. Słychać było jeden tylko przeciągły ton, czysty i równy, wolny od wszelkiego wibrowania. I nikt nie umiałby powiedzieć, kiedy przechodził w ton inny, gdzie się kończył jeden a zaczynał drugi.

Znowu padła smuga światła, ukazując ją na tej samej macie, na której przed chwilą tańczyła, tym razem ze złożonemi na piersiach rękoma i obliczem wzniesionem ku niebu. Wydawała się być istotą nadziemską, boską. Kimono jej było śnieżno-białe, a połyskiwało blaskiem srebrzystym tam tylko, gdzie promienie księżyca padały na jedwab. A głos jej! Utrzymany w tonacji minorowej, porywał swoją słodyczą i urokiem cudnie melancholijnym. Śpiewała melodję, której, pominąwszy Wschód, w żadnym innym kraju dotąd nie słyszano, i która może po raz pierwszy dopiero znalazła poklask u cudzoziemców, dla tego głosu właśnie — głosu, który stworzony był wręcz dla tej mieszaniny melodji. A gdy skończyła, nie przebrzmiał ton ostatni, lecz zdawał się być niedokończony, pozostawiając wrażenie czegoś przerwanego. Słuchacze pochylili się naprzód, śledząc w mrokach ciemności i oczekując końca pieśni. — — —

Dyrektor teatru amerykańskiego zerwał się i podążył ku światłu, które, gdy się do maty przy-

bliżył, zachwiało się trwożliwie i nagle zgasło. Dziewczę zniknęło niepostrzeżenie.

— Na Boga! Ona jest wielka! — zawołał z zapałem. A potem zwrócił się do gospodarza: — Gdzież ona? Gdzie mógłbym ją odszukać?

Człowieczek w odpowiedzi potrząsnął tylko głową.

— Nie staraj się ukrywać, a mów, — zawołał Amerykanin zniecierpliwiony. — Zapłacę!

— Nie wiem. Zniknęła.

— Ale tobie wiadomo, gdzie mieszka?

Gospodarz ponownie zaprzeczył.

— Czyż nie mogłoby to doprowadzić do rozpaczy nawet którego z świętych tego kraju? — zapytał zirytowany dyrektor młodszego towarzysza, który podążył tu za nim.

— Miałaby duże powodzenie w Wodewilu, — brzmiała krótka odpowiedź towarzysza.

— Toż ona warta fortuny! Jeżeli przebywa na tej wyspie, znajdę ją z pewnością. Pójdzie pan ze mną?

Jack Bigelow towarzyszył dyrektorowi, którego nigdy przedtem nie był widział, i którego nie spodziewał się też spotkać i w przyszłości. Pędzili jedną z tych licznych wązkich zacienionych dróg, które wyspę zamieniają niemal w labirynt; lecz szczęście im sprzyjało. Na zakręcie drogi, oddalonym o jakie pięćdziesiąt metrów od zatoki, ujrzeli wreszcie dwie postaci — dwie kobiety, obie małe, ale jedna z nich odrobinę wyższa od swej towarzyszki.

— Hallo! Stójcie! — zawołał dyrektor, który mimo, że znajdował się wśród ludu, mogącego się pochlubić starszą kulturą od jego własnej, uważał Japończyków tylko za pogan, dla których zbytecznym jest ukłon i szacunek. Kobiety przystanęły.

— Czy to ty jesteś ową dziewczyną, która w ogrodzie śpiewała?

— Tak, — odparła wyższa wzrostem głosem dźwięcznym.

Dyrektor nie tracił czasu.

— Czy chciałabyś być bogatą?

Przytaknęła ponownie, tym razem bardzo skwapliwie.

— Doskonale! — Twarzy dyrektora nie było widać, ale w głosie jego drgała nuta niepohamowanego zadowolenia. — Jedź więc zemną do Ameryki: a bogactwo cię nie minie!

Opuściła głowę i milczała. Dyrektor jął się niecierpliwić:

— Cóż ty na to?

— Ja zostać w Japonji, — odpowiedziała wreszcie.

— W Japonji zostać! — dyrektor nie umiał już zapanować nad sobą. — Ależ w tym kraju tu nie dojdziesz nigdy do majątku. Słuchaj, jutro zrana przyjdę do ciebie. Gdzie mieszkasz?

— Ja niechcę, żeby ty przyjść. Ja zostać w Japonji!

Tym razem zaklął dyrektor już zgoła nie po pogańsku.

— Jeżeli tu chcesz zostać, jesteś upartą błaźnicą. Nigdy nie dojdziesz — — —

Towarzysz dyrektora, zwący się Bigelowem a który przez cały czas w milczeniu przysłuchiwał się usiłowanemu handlowi, wmieszał się teraz do rozmowy nieco porywczo i szorstko.

— Zostaw ją pan w spokoju! Przecież ma prawo postępować tak, jak sama zechce. Jeżeli woli pozostać w kraju, pocóż ją zmuszać do wyjazdu do Ameryki.

— Przyznaję, widzę, że gwałtem nie mogę jej nakłonić do przyjęcia mej propozycji, — odparł dyrektor niechętnie. Dobył z kieszeni etui i wręczył dziewczynie swój bilet. — Może zmienisz swoje zdanie, gdy się nad całą sprawą nieco zastanowisz. Jeżeli nabierzesz ochoty, zgłoś się do mnie; adres mój w Tokio znajdziesz na bilecie. Narazie wyjeżdżam do Bombaju, aby wyszukać tam kilku kuglarzy indyjskich. Po pięciu miesiącach mniejwięcej powrócę do Tokio, zanim urządzę małą wycieczkę do Chin, na Koreję i Filipiny — a potem jazda do domu.

Dziewczynka wzięła bilet i przysłuchiwała się milcząco; gdy skończył, skłoniła się, wsunęła rękę pod ramię swej towarzyszki i pobiegła wązką drożyną ku zatoce.

Powróciwszy do ogrodu herbaciarni, dyrektor znowu pogonił na poszukiwanie właściciela.

— Ty wiesz coś bliższego o tej dziewczynie. Proszę cię, opowiedz nam, — rzekł w tonie rozkazującym.

Gospodarz giął się wpół, rozpływał się w grzecznościach, lecz mimo to wzdragał się mówić o tej, która tańczyła tu przed chwilą i śpiewała. Wreszcie jednak uległ z widoczną jednak niechęcią. Opowiadał więc, że nic prawie o niej nie wie. Przyszła do niego nieznana zupełnie i nie wyjawiając nazwiska, zaofiarowała swoje usługi. Nie chciała podpisać zwykłego kontraktu, którego gejszy najczęściej same się domagają, on zaś mając na uwadze jej talenty, nie chciał jej utracić. Swemi niezwykłemi tańcami przyciągała do ogrodu mnóstwo gości. Mimo to nienawidził jej; nie ufał jej. Przychodziła tylko wtedy, gdy miała humor, gdy on zaś pragnął sprowadzić ją na jaki festyn, wtedy był bezsilny, z tej prostej przyczyny, że nie znał jej adresu. Szczęśliwy traf, że przyszła właśnie dzisiejszego wieczoru. Kiedyś usiłował iść nieznacznie za nią, ale ona spostrzegła to i wymogła na nim przyrzeczenie, że już drugi raz nie będzie tego czynił, gdyż inaczej ona wogóle nigdy do niego nie powróci. Mówił o niej z widocznem lekceważeniem.

— Ładna, panie!? Ech! W złudnem świetle czcigodnego księżyca nie mogłeś widzieć jej dokładniej. Pospolita dziewczyna z Tokio, z niebieskiemi szklanemi oczyma barbarzyńców, żółtą skórą pośledniejszych Japończyków, z bronzowawo-czarnemi włosami i figurą japońskiej kurtyzany, obca temu krajowi, obca japonji i obca twojej czcigodnej ojczyźnie, pełna godności a jednak... oto co tu długo gadać: mieszaniec!

II.

Gdy kobieta się oświadcza a mężczyzna ją odtrąca.

Jack Bigelow był wręcz stale oblężony przez nakodów.*) Uchodził za jednego z najzamożniejszych cudzoziemców miasta, stąd nakodowie nie chcieli go pozostawić w spokoju. Bawił się wprawdzie wyśmienicie, gdy opowiadali o wszelkich tych małych komedjach i tragedjach swych „partyj", które częściowo kojarzyli, częściowo rozłączali, mimo to wobec ich mistrzowskich zabiegów pozostał niewzruszony. Tego rodzaju związki odstraszały go, tem bardziej, że pamiętał o przyrzeczeniu, jakie dał przed wyjazdem z Ameryki najlepszemu przyjacielowi swemu, koledze uniwersyteckiemu, Japończykowi, Taro Burtonowi. Przyrzekł, że podczas swego pobytu w Japonji nie pójdzie za przykładem tych wielu cudzoziemców, którzy na czas krótki, przyjemny i szczęśliwy łączą się beztroskliwie z japońskiemi dziewicami, aby je następnie z tą samą beztroskliwością porzucić.

Taro Burton burzył się z tego powodu; potępiał zarówno cudzoziemców, którzy poślubiali z lekkiem sercem Japonki, aby je potem opuścić, jak niemniej samych Japończyków, którzy podobny nieobyczaj tolerują. On sam był mieszańcem, potomkiem małżeństwa zawartego pomiędzy Anglikiem a Japonką. W tym wypadku

*) Nakodo — nazwa japońska zawodowego stręczyciela małżeństw.

mąż pozostał małżonce swej i swym dzieciom wierny aż do skonu, ale on poślubił córkę dumnego, staroszlacheckiego rodu Dżiokiszów, a ceremonji zaślubin dokonał misjonarz. Mimo tego nad wyraz szczęśliwego małżeństwa dowodził Taro, że dzieci z takich związków zmuszone są dźwigać na swych barkach jak gdyby klątwę losu. Stąd więc był nieubłaganym przeciwnikiem małżeństw, zawieranych pomiędzy córami swej ojczyzny a mężczyznami obcych krajów, tem bardziej, że dosyć już długo przebywał na zachodzie, aby nabrać przekonania, z jak lekkiem sercem cudzoziemcy związki takie zrywają i jak się tem bawią. Było wprawdzie słuszne, że kobieta od małżonka swego porzucona, otrzymywała następnie według prawa rozwód, lecz to właśnie, zdaniem Tara, było tem okropniejsze.

Całe pięć lat, aż do uzyskania stopnia akademickiego — co nastąpiło przed czterema miesiącami — młody Amerykanin i młodzieniec półjapończyk żyli, pracowali i mieszkali wspólnie, połączeni głęboką, serdeczną przyjaźnią.

Początkowo było postanowione, że obaj przyjaciele podróż tę odbędą razem. Taro Burton chciał powrócić do ojczyzny, a Jack Bigelow miał najpierw spędzić rok na podróżach, aby, potem wstąpić do przedsiębiorstwa swego ojca, bogatego armatora. Ale z jakiegoś powodu, którego przyjacielowi swemu nigdy nie wyjawił Taro w ostatniej chwili plan swój zmienił; napierał jednak, aby Jack odbył swą podróż w pojedynkę, czemu ostatecznie Amerykanin uległ,

ale wówczas dopiero, gdy otrzymał przyrzeczenie Japończyka, że przyjedzie wkrótce za nim. Tak tedy Jack Bigelow sam odbył długą podróż do Japonji i wydzierżawił mały domeczek w pobliżu Tokio.

Nie było to korzystne, że Taro przyjacielowi swemu nie mógł był towarzyszyć; jakkolwiek bowiem Amerykanin nie posiadał zgoła słabego charakteru, był przecież dobroduszny, łatwowierny i uczuciowy, tak że łatwo poddawał się wpływom zewnętrznym.

Gdyby młody Japończyk nic więcej nie był uczynił, byłby przynajmniej umiał utrzymać zdala od niego uprzykrzonych nakodów z ich ofertami na małżeńską szczęśliwość. Zwłaszcza jeden z nich posiadał wygląd tak malowniczy i tak szczególny sposób przekonywania, był przytem tak wytrwały w swem natręctwie, że Amerykanin zachęcał go niemal do częstszych wizyt, a stosunek ich wzajemny nabrał cech pewnego rodzaju sympatycznej, żartobliwej poufałości.

Był to ów nakodo (na imię mu było — jak zapewniał Jacka — Ido), który do domku jego sprowadził pewną młodą Japonkę, pragnącą zostać jego żoną — i zaklinał Jacka. ażeby zgodził się przynajmniej na przedstawienie jej jego oczom.

— Jest piękna, jak bogini słońca, — zaręczał z całą przesadą, właściwą jego zawodowi.

— Ostatnia była piękna jak księżyc — zaśmiał się młodzieniec, — czy nie masz tam przypadkiem dla mnie gwiazd jakich?

— Gwiazd? — powtórzył nakodo, najpierw nieco zbity z tropu, a niebawem promieniejący od zachwytu i ulgi. — O, tak, jej stopy, włosy jej i ręce lśnią niby gwiazdy. Ona kazała cię prosić, abyś ją przyjął, panie!

— Niech i tak będzie, dla zabawy, — zgodził się ze śmiechem. — Czemuż nie miałbym się przyjrzeć ładnej dziewczynie? Wprowadź ją do zasziki,*) a ja niebawem się tam zjawię. Ale pamiętaj, że uważam to tylko za żart, ponieważ wogóle nie mam zamiaru się żenić, a już żadną miarą z dziewczyną tego rodzaju!

— Nawet nie na maleńką chwileczkę? — nakodo usiłował go namówić.

— Nawet nie na maleńką chwileczkę! — odparł młodzieniec, ale aglenta już nie było.

Ciekaw ujrzeć tę, która chciała zostać jego żoną, udał się Jack do zasziszi, tonącego w potokach światła słonecznego. Wzrok jego spoczął na niej od pierwszej chwili; szodżi**) bowiem w głębi pokoju była rozsunięta, a w otworze stała ona, z głową w prześlicznem zakłopotaniu lekko skłonioną. Nie mógł dojrzeć jej twarzy. Była bardzo niskiego wzrostu, aczkolwiek nie tak niskiego, jakim odznacza się przeciętny typ Japonki. A małe jej ręce, które skrzyżowała

*) Zasziki — pokój bawialny.

**) szodżi — między słupami, na których opiera się dach domku japońskiego, idą ściany, z których conajmniej trzy są ruchome i składają się z rzeźbionych ładnie ram, obciągniętych naoliwionym papierem i poruszających się w rowkach jak zasuwy; służą one za okno i za drzwi zarazem.

na piersiach, były najbielsze, najśliczniejsze i najdoskonalsze w swej formacji, jakie kiedykolwiek był widział. O piękności rąk Japonek słyszał już wiele, nie zdziwił się przeto, że i z tej sfery dziewczyna — była naturalnie gejszą, pomyślał — posiadać może tak cudnie delikatne rączki. Domyślał się, że trzymała je naumyślnie tak, aby piękno ich najbardziej uwydatnić, a jej poza nieco afektowana, bawiła go i zarazem bardzo mu się podobała.

Po pewnej chwili osunęła się na kolana i pochyliła do jego nóg. Ubrana była w szaty weselne, w kimono z czerwonej krepy opasane purpurowym »obi« (szarfa). Włosy jej były upięte na wzór włosów gejszy, z kwiatkiem wpiętym na czubie i ostremi sztyletami po bokach; lecz gdy główkę swoją pochyliła aż do maty, wysunęła się szpila z jej włosów, zaczem rozsypało się niezliczone mnóstwo o złotym odcieniu brązowych zbuntowanych włosów, spłynęło na jej oczy, uszy i pokryło dosłownie całą jej skuloną na ziemi małą figurynkę. Drgnęła ze wstydu z powodu tego nieszczęścia, poczem klęczała już zupełnie cichuteńko i nieruchomo u jego stóp.

Bigelow oniemiał. Nigdy w życiu nie widział dotąd takich włosów. Był to włos czarny, aczkolwiek nie zupełnie czarny; gdyż tam nawet, gdzie był oliwą natłuszczony, widoczny był pyszny rudawy połysk. Włos to był tęgi i bujny, długi i falisty.

— Boże mój! — zawołał wreszcie, gdy mała całą już minutę klęczała tak pochylona bez poruszenia, — ależ gotowaś się nabawić w tej pozycji albo bólu jakiego kurczu.

Dziewczę na dźwięk jego głosu nie podniosło się, lecz przeciwnie — posunęło się jeszcze bliżej ku niemu, włosy otulały ją w dalszym ciągu niezmiennie. Dreszcz przeszedł go rozkoszny, a równocześnie gniewał się, radował i bawił się.

— Dosyć tego! — odezwał się. — Wstań. Proszę!

Nakodo poradził mu, ażeby sam podniósł ją z ziemi i młodzieniec uczynił to, przyczem ręce jego zanurzyły się w falach jej włosów. Gdy powstała, ujrzał jej twarzyczkę, owalną i zaróżowioną z usteczkami o barwie dojrzewającej wiśni. Powieki były jeszcze opuszczone, tak że nie widział jej oczu.

— Jak się nazywasz? — zapytał łagodnie. — I czego żądasz odemnie?

Teraz podniosła głowę, ukazując mu swoje oczy. Te oczy rzucały na niego urok! Były duże, jakkolwiek wąskie, o barwie ciemnego błękitu. Przedtem, gdy włosy jej były starannie wygładzone i ufryzowane, nie zauważył był u niej nic nadzwyczajnego; teraz jednak, gdy kaskady brązowo-czarnych włosów otulały ją całą, gdy ujrzał jej oczy duże, niebieskie i nieco przymglone, wydała mu się jako małe stworzenie baśniane, czarujące i wprawiające go w stan nieustającego zdumienia. Japonka z takiemi wło

sami i oczami takiemi! A przecież — im dłużej jej się przypatrywał, tem snadniej przyznawał, ze w szatach tych było jej bardzo do twarzy, że była prawdziwą Japonką, mimo swych oczu i włosów. Nie kusił się o dociekanie tego niezwykłego zjawiska, lecz co do narodowości jej nie miał żadnych wątpliwości. Nie było na świecie żadnego innego kraju, do którego mogłaby przynależeć.

— Czy jesteś Japonką? — zapytał wreszcie, aby się upewnić.

Skinęła.

— Byłem tego pewny, a jednak...

Uśmiechnęła się, przymrużając oczy. W tej chwili wyglądała prawdziwie po japońsku i była piękniejsza jeszcze niż przedtem.

— Twoje oczy i włosy — — —, rozpoczął na nowo. Znowu skinęła i znowu się uśmiechnęła, lecz on wiedział już, że go zrozumiała.

— Czego chcesz odemnie? — zapytał, bardziej dlatego, aby usłyszeć jej głos, niż dowiedzieć się o życzeniach, o których był już powiadomiony.

Spoważniała. Spoważniała bardzo. Zapłoniła się i opuściła powieki. Była to trudna sprawa objaśniać go o celu swego przybycia. Powinien był przecież sam zgadnąć, lecz zmusiła swe usta do mowy.

— Twoją żoną zostać, mój władco, — powiedziała łamaną angielszczyzną, a niezwykły dźwięk jej głosu wywarł na nim osobliwsze wrażenie.

Spodziewał się odpowiedzi takiej a nie innej, lecz mimo to, gdy ją usłyszał, podziałała na nie-

go w sposób zgoła nieoczekiwany. Patrzeć na to cudne młode dziewczę, gdy błagało go, aby ją poślubił, — on, co nigdy dotąd nie myślał o małżeństwie, — to go wytrąciło z równowagi. Cofnął się mimowoli przestraszony, a pożerany jednocześnie ciekawością, dlaczego właśnie do niego przyszła. Ciekawości swej dał niebawem wyraz.

— Ale czemuż akurat mnie pragniesz poślubić? — zapytał. Twarz jej przybrała maskę tajemniczości. Usta jej pobladły, i pierzchnął uśmiech. Nagle wybuchła głośnym śmiechem, — był to śmiech przenikliwy, niesamowity, który rozległ się po pokoju i echo zbudził w całym domu.

— Czemu? — zapytał ponownie, jak gdyby uroczony.

Wzdrygnęła ramionami i odparła: — Ja potrzebować pieniądze.

Był to oczywiście jedyny powód; wiedział to już przedtem: lecz gdy mu to jasno i bez ogródek oświadczyła, uczuł jak by pchnięcie sztyletem w serce. A była to istotka taka mała, misterna, rozkoszna!

— O, dlatego tylko nie powinnaś siebie sprzedawać, — powiedział poważnie. — Dam ci pieniędzy tyle, ile tylko zapragniesz. Jesteś jeszcze bardzo młoda, prawda? Jeszcze bardzo maleńka dziewczynka. Nie mogę się z tobą połączyć, byłoby to bardzo nieszlachetnie.

Znowu wzdrygnęła ramionami i powiedziała nakodzie coś po japońsku.

— Ona powiada: w takim razie uczyni to kto inny, — przetłumaczył nakodo.

— Tylko śmiało, — odparł młodzieniec na to z pewną nietajoną wcale gorzką wymówką w głosie.

Zwróciła swe kroki ku wyjściu, lecz niebawem zawróciła, zbliżając się ponownie do Bigelowa.

— Ja ciebie już widzieć, — odezwała się w tonie spokojnym.

— Gdzie? — zapytał skwapliwie. Twarz ta wydała się mu teraz istotnie nie obca.

— W herbaciarni.

— W której herbaciarni?

— Na małej wyspie! Ty sobie przypominasz? Ja tam tańczyć tak... — i uczyniła kilka ruchów tanecznych.

— Co! to ty jesteś ową dziewczyną? — Teraz dopiero ją poznał. — A skądże ty mnie pamiętasz?

— Ty szedł zamną po tańcu z innym amerykańskim panem, a przedtem ktoś mi ciebie pokazać — stara kobieta, która mi towarzyszyć.

— A skąd ona mnie znała?

— Ona ciebie nie znać osobiście, ale — ona mówić, ty najbogatszy cudzoziemiec w cała Japonja.

— Aha — wtrącił chłodno.

— Ona mi mówić, ja mam zostać twoja żona.

— Naprawdę? A czemu?

Skłoniła na chwilę głowę. — Bo ona wiedzieć ja ciebie kocham, — odparła.

— Ty mnie kochasz! — Roześmiał się na głos. Jej szczerość była kusząca.

— Tak, — odpowiedziała, a on w męskiej swej zarozumiałości gotów był jej uwierzyć.

— Nie wolałabyś jednak pozostać w herbaciarni, niż zamąż wychodzić? — zapytał.

— Mało pieniędzy przy ten interes, — odpowiedziała.

— Czy ty wszystko czynisz tylko dla pieniędzy?

— Jak mogłabym żyć inaczej?

Słowa te przypomniały jej właściwy cel bytności u Amerykanina. Uniosła ku niemu złożone swe rączki.

— Ach, panie, proszę się ze mną ożenić! — mówiła głosem błagalnym.

Szybkim ruchem ujął jej ręce. Były delikatne, jedwabne i takie małe, że obie zmieścić się mogły doskonale w jednej jego męskiej ręce. Były zachwycające. Były lekko operfumowane, jak wszystko na niej. Trzymał ją silnie.

— Ty nie masz wychodzić za mąż, słyszysz! Ile masz właściwie lat?

Udała, że zapytania niezrozumiała.

— Ja być dla ciebie dobra żona na zawsze, — powiedziała, i poprawiła się natychmiast, jak gdyby przerażona znaczeniem własnych słów. — Nie, nie, ja robić komiczny błąd — nie na zawsze, tylko na małą chwilę — jak ty życzyć, mój władca!

— Ale ja wcale tego niechcę, — zaśmiał się nerwowo. — Nie chcę się żenić. W Japonji pozostanę najwyżej kilka miesięcy.

— O, tylko na małą chwilę ty się ze mną ożenić, — błagała usilnie. — Proszę, proszę!

Cierpiał bardzo, słuchając jej prośby. Była delikatna, wykwintna i łagodna. Porywczo uwolnił się z jej rąk. Ona wyciągnęła je i znowu wsunęła się w jego objęcia. Oczy jej zaszły wielkim smutkiem, a on widząc to, obawiał się, że to małe rozkoszne stworzenie niebawem zaleje się łzami. Pragnąc ją przeto uspokoić i pocieszyć, począł mówić do niej, bez zastanowienia się nad ważnością swych słów.

— Nie płacz już, nie płacz. Ożenię się z tobą, skoro tak bardzo tego pragniesz.

Uczuł, jak ręce jej zadrżały.

— Dzięki ci, panie! — powiedziała głosem, który był raczej szeptem, a w którym nie mógł się dosłyszeć żadnego tonu radości.

Radość natomiast zabrzmiała w słowach nakody. Zrobił dobry interes, doskonały interes; młody Amerykanin uchodził bowiem za bogacza, który, gdyby mu się tylko spodobało, mógłby zakupić na własność setki setek pól ryżowych. Nakodo przystąpił teraz z łagodnym uśmiechem, aby ustalić warunki.

— Kosztować będzie tylko trzysta jenów i pięćset jenów na tydzień. Śmiesznie niska cena za kobietę!

Jack Bigelow, widząc szczerzącą się twarz stręczyciela małżeństw, opamiętał się. Powiedział, że ożeni się z tą małą, której drobniusieńkie rączki obejmował w mocnym uścisku. Puścił je, jak gdyby to były ręce istoty martwej i cofnął się o krok.

— Nie uczynię tego! — krzyknął nieomal. — Nie, nigdy! — Potem uprzytomnił sobie nagle uczucia dziewczęcia, którą w tak szorstki odtrącał sposób, i mówił już głosem spokojniejszym. — Nie zupełnie byłem przy zmysłach, gdym twierdził, że się z nią ożenię. Żadna Japonka nie będzie moją żoną, ja wogóle się nie ożenię! Nigdy! Byłoby to z mej strony nieuczciwością wobec ciebie. — A wahając się, dodał powoli: — Lecz sądzę, że mógłbym cię bardzo pokochać, gdybym cię wpierw poznał.

— Ależ — zawołał nakodo wystraszony, widząc w puch rozbitą nadzieję wielkiego zysku.

Jack zwrócił się ku niemu gwałtownie, rzucił mu spojrzenie ostre, gromiące i cofnął się pospiesznie.

Wyraz ulgi pojawił się na obliczu dziewczęcia, gdy Jack krzyknął, że nie chce jej za żonę. Jack zauważył to i zdumiał. Lecz wyraz ulgi pokryła natychmiastowo wyrazem rozczarowania. Z ust jej nie padło jednak żadne już słowo; rzuciła mu tylko jedno jedyne szybkie spojrzenie z pod rzęs opuszczonych, skłoniła się tak nizko, że główka niemal kolan jego dotknęła i opuściła go.

III.

UMOWA.

Jack Bigelow uważał wizytę nakody i małej panienki (nie pomyślał nawet o tem, aby zapytać o jej imię) za rzecz ostatecznie załatwioną. Ale... Japonka zniknęła wprawdzie z jego mieszkania, lecz nie zniknęła z jego pamięci. Za-

przątała go wbrew jego woli, aczkolwiek przyznać trzeba, że nie wysilał się wcale, ażeby ją raz na zawsze z pamięci swej wygnać.

Wielu już nakodów zbliżyło się do niego, aby zaofiarować rękę — jak zapewniali — dziewcząt nadzwyczajnych, a nigdy nie zgodził się na to, aby mu je osobiście zaprezentowali.

I było to dla niego czemś zgoła nowem, iż dziewczę, które raz jedyny widział, uczyniło mu propozycję małżeństwa, i to wśród okoliczności, które niemożliwiały mu bliższe przyjrzenie się jej. Że on, Jack Hampden Bigelow A B (artium baccalaureus) był tak poszukiwany, schlebiało to jego próżności, własności, od której spodziewał się być wolny. Schlebiało mu to, mimo kołatającej ustawicznie świadomości, że zbliżyła się do niego jedynie dla jego majątku.

Zajście całe rozśmieszało go jeszcze kilkakrotnie dnia tego. Będzie musiał je zapamiętać, aby później mieć coś specjalnie ciekawego, gdy w ojczyźnie będzie opowiadał swoje przygody z podróży po obcych krajach. Oczywiście, że tu i ówdzie będzie nieco koloryzował a przedewszystkiem dziewczę przedstawi jako znacznie piękniejsze. Ale nie, ona w rzeczywistości była bardzo piękna. Pod tym względem wszelka przesada będzie zbyteczna.

Przez cały dzień myślał Jack o wizycie porannej, przyczem na samo wspomnienie faktu, że jemu się oświadczono, wybuchnął dwa razy takim śmiechem, że aż mały jego służący nadbiegł, aby się przekonać, czy „obcy z wesołemi

oczyma“ przypadkiem nie zwarjował. Nad wieczorem czuł jakiś nieokreślony niepokój, a ponieważ — jak sobie wytłumaczył — nie miał nic ważniejszego do czynienia, przeto udał się do ogrodu herbaciarni na małą wysepkę, gdzie przed kilku dniami spędził wieczór w towarzystwie Amerykanina. Mijała chwila za chwilą, minęła długa godzina, a Jack czekał na coś — na coś, co się nie jawiło. Ostatecznie, gdy spostrzegł przechodzącego właściciela ogrodu, zapytał go tonem pozornie obojętnym:

— Czy znajduje się jeszcze u ciebie dziewczyna, która w wieczór święta pełni księżycowej śpiewała tu i tańczyła?

Nie, nie było jej tu i gospodarz prosił z tego powodu pokornie o przebaczenie. Od czasu owej nocy, kiedy Amerykanin ją widział, nie odwiedziła dotąd jego nędznego ogrodu.

Tem samem znalazł się powód, który nagle odebrał mu wszelką ochotę do przebywania w ogrodzie, więc wrócił do domu. Lecz następnego wieczoru, — ponieważ znowu nie miał nic ważniejszego do czynienia — znalazł się ponownie wśród gości ogrodu herbaciarni. Tym razem jednak nie opuścił go po upływie godziny, być może dlatego, że dziewczę jakieś o bajecznie błękitnych oczach wykonało taniec uroczy i przecudną śpiewało pieśń. Barwy oczu wprawdzie nie mógł był rozróżnić z powodu odległości, ale był pewny, że są błękitne.

Odtąd przesiadywanie wieczorami w ogrodzie weszło u niego w zwyczaj — w Tokio było

wtedy bardzo nudno, brakło jakichkolwiek innych rozywek. Podczas wielu takich wieczorów, spędzonych w ogrodzie, wynudził się straszliwie. Ale było i kilka wieczorów mniej nudnych. Mógł to był być prosty tylko przypadek, niemniej przecież było faktem, że właśnie podczas tych wieczorów migotał przed oczyma jego taniec przedziwny a w uszach dzwonił śpiew przecudny, gdy tymczasem podczas innych wieczorów i najpowabniejsze tańce i śpiewy wspaniałe nie zdołały wywołać w nim żywszego zainteresowania lub podziwu.

Pewnego wieczoru, zaraz po ukończonym takim tańcu uroczym i śpiewie przecudnym, powlókł się bezwiednie tą samą wązką drożyną, którą ongi dążył przy boku wzburzonego dyrektora teatru. I tak doszedł do wybrzeża, nie spotkawszy nikogo, a choć nie przyznawał się do tego, jakoby kogo poszukiwał, to przecież uczuł w głębi serca bolesne rozczarowanie.

I tak przetrwał w swej nudzie okrągło dwa tygodnie: co wieczór w ogrodzie herbaciarni. W końcu Jack — będąc już teraz bardziej wobec siebie szczerym — przyznał, że nie było w tej chwili nic takiego, czego by pożądał, a w przystępie otwartości wobec siebie samego, przyznał również, że ani w państwie słońca ani na wszystkich krańcach świata nie było nic takiego, co mogłoby go bardziej interesować niż dziewczyna, która pragnęła zostać jego żoną. Czemu tak było, nie wiedział; nie posiadał daru wnikania w duszę własną i cudzą.

Pewnego popołudnia wypoczywając w swym pokoju i paląc „kiseru"*), usiłował wyobrazić ją

*) „Kiseru" — mała fajeczka.

sobie w swem mieszkaniu, aby poznać wpływ jej obecności.

Widział ją w swym pokoju siedzącą na wielkiem krześle, mimo że na podłodze byłoby jej znacznie wygodniej; ślicznie dostrajała się do otoczenia. Widział ją siedzącą w zadumie w tokonono*) — skinął głową: bardzo dobrze! Widział ją następnie w ogrodzie pod kwitnącą jabłonią, i znowu skinął — z zadowoleniem. A wspólne śniadanie, ona naprzeciw niego! Byłoby to zaprawdę śniadanie u aniołków w niebie — o ile aniołkowie wogóle inną, niż duchową strawę spożywają. Naprawdę, w jego małym domku wyglądałaby cudnie i efektownie, harmonizowałaby doskonale z całością.

Ale jakąż komiczną figurę przedstawiałaby w sukniach amerykańskich! Wyobraził ją sobie w kostjumie sportowym — i uśmiechnął się. A jednak był pewien, że nawet w szatach kobiet jego ojczyzny wyglądałaby elegancko i uroczo. Wprawdzie trudno byłoby jej w tem chodzić, ale nawet mimo swej nieporadności wyglądałaby powabnie. Wówczas też grzeszyłaby naturalnie przeciwko obowiązującym kanonom amerykańskiej uprzejmości salonowej, a z tem wszystkiem jakże wyglądałaby rozkosznie! Porównywał ją z żonami swych znajomych, z wielu panienkami, które był poznał, odkąd wogóle począł się niemi zajmować, a skutek tych porównywań był ten, że podziw jego dla niej rósł, olbrzymiał z każdą chwilą. Uświadamiał sobie, jak dumny byłby z jej posia-

*) Tokonono — nisza z wywyższoną podłogą, służąca za sypialnię.

dania; była śliczną i wywierałaby wrażenie. A mężczyźni lubią, gdy ich żony ściągają na siebie spojrzenia pełne podziwu. Nie byłaby podobna do żadnej z kobiet jego ojczyzny, a i to miało swoją wartość i urok swój.

Co też powiedzieliby na to jego rodzice? Najpierw, oczywiście, byliby bardzo oburzeni. Ale ich oburzenie nie byłoby długotrwałe; kochali go, a jej nie umieliby się długo opierać, bowiem nikt nie mógłby się jej oprzeć. Zresztą było to jeszcze tak odległe, że i sensu nie miało już teraz sprawą tą się niepokoić i głowę sobie nabijać.

Cemuż, do djabła, nie dowiedział się, jakie jej imię? Nudne to w swych myślach nazywać ją ustawicznie: „ona".

Ale czemu przyszła do niego z oświadczynami i propozycją małżeńską? Potrząsnął głową; nie bardzo mu się to podobało. Ale — racja! Japończycy mają wiele takich osobliwych zwyczajów. Jego przygoda była tego dowodem. Była ona niewątpliwie dziewczyną niezwykłą, z rodziny niepospolitej, a niejakąś tam gejszą przeciętną, jak to początkowo był przypuszczał. W herbaciarniach przyjrzał się gejszom dostatecznie — ażeby mógł rozpoznać, że pochodzi z innego otoczenia, inaczej poprostu jest ułożona; lubił wprawdzie bardzo gejszy, tesympatyczne stworzenia, ale —

W tej chwili właśnie przesuwał się przez jego pokój służący i marzenia się rozprysły. Ją poślubić? Zerwał się. Co mu się też przyśniło? Myśl ta była niedoręczną, jak wogóle niedorzecznością było myśleć o małżeństwie. Powstał, przywołał

służącego i posłał go po dżinrikiszę. Pojechał do Tokio, aby zapomnieć o wszystkiem.

Ale zapomnieć było trudno. Gdy bowiem opuszczał dżinrikiszę, spostrzegł ją nagle na skręcie ulicy. Podążył za nią; zanim jednak doszedł do narożnika, zniknęła mu z przed oczu. Zaglądał do wszystkich sklepów po obu stronach ulicy na przestrzeni przeszło sto metrów, lecz nie zauważył nikogo, choćby w przybliżeniu do niej podobnego. Następnie badał gorączkowo najbliższe sąsiedztwo; rozczarowanie jego rosło z minuty na minutę, aż wreszcie uderzyło go, że sklepikarze śledzą za nim nieufnym wzrokiem. Zaniechał tedy dalszego poszukiwania i zawrócił do swej dżinrikiszy.

W smutnem zamyśleniu jechał dalej, aż oto zauważył postać znajomą. Był to Ido, nakodo, którego postanowił przytrzymać.

— Hallo! — zawołał, uderzył go ręką po plecach i chwycił silnie za ramię.

Ido cofnął się przerażony, jak by od nieprzyjaciela napadnięty. Do tak obcesowych i twardych powitań nie był wcale przyzwyczajony. Zorjentowawszy się jednak, kim jest napastnik, uśmiechnął się z zadowolenia i dał zaraz wyraz przekonaniu, że dostojny i szlachetny Amerykanin spędził dni w słonecznej szczęśliwości.

— Nie najgorzej, — odpowiedział Jack. — A jakże tobie się wiedzie? Interesy dobre? Dużo partyj?

Ido wprowadził w tym czasie cztery osoby do krainy szczęścia niezrównanego — to znaczy, że

skojarzył dwa małżeństwa. Czy jego Wspaniałość osiągnęła również takie szczęście?

Nie, jego Wspaniałość nic nie osiągnęła.

— Ty popełniasz wielki błąd na całe życie. — zapewniał Ido, — ty jeszcze nie widziałeś Japońki, która się tobie podobać na żonę? Nie? Ja znam inną dziewczynę, ty jej nie widziałeś. Najpiękniejsza w Japonji. Chcesz ją zobaczyć?

— Nie chcę! widzałem już dosyć. Zresztą, Ido, powiedz mi, co się też stało z dziewczyną, którą mi ostatnio przyprowadziłeś? Czy wyszła już zamąż? — Jack przybrał maskę obojętności.

— Nie, panie!

Jack, usłyszawszy tę odpowiedź odetchnął z ulgą.

— Ale ja sądzić, że ona niedługo wyjść zamąż! — dodał Ido tonem obojętnym. — Dwuch, trzech, nie, dwuch innych panów — jak się to mówi po angielsku? — stara się o nią.

Słowa te wypłoszyły znowu radosną ulgę z pozornie obojętnego serca Jacka, a miasto niej rozszalała w niem wściekła zazdrość. Lecz zmusił się do chłodnej uwagi: — Co też mówisz!

Ido potwierdził swoje opowiadanie głębokiem skinieniem, które niemal podobne było do ukłonu.

— Bardzo ładna dziewczyna, — dodał Jack wyniośle.

Odpowiedź Ida ograniczyła się do zwykłego przytaknięcia. Nie miał najmniejszej ochoty popadać w zachwyt, gdy nie miał na widoku żadnego zysku.

— Przypuszczam, że napadnie mnie jeszcze kiedy ochota, aby ją odwiedzić i powinszować, — rzucił Jack, — Gdzież ona mieszka?

— Ja, niestety, nie wiedzieć.

— Hm, skoro tak, to trudno... Ale słuchaj, zanim wyjdzie zamąż, chciałbym ją zobaczyć. Podobała mi się. Czy nie mógbyś jej jutro rano do mnie sprowadzić?

— Ja mieć wiele do czynienia; — nie widział sposobności zarobku, dlatego też nie miał powodo spełniania życzeń Jacka.

— Trud twój wynagrodzę sowicie — oto nie miej obawy.

Być może, że Ido znajdzie jeszcze chwileczkę wolnego czasu; owszem, teraz gdy się głębiej zastanowił, widzi, że będzie mógł przybyć.

Tak tedy postanowiono, że najutrz o godzinie dziesiątej rano Ido wraz z dziewczyną stawią się w mieszkaniu Jacka.

IV.

Gdy mężczyzna się oświadcza.

Nie zdziwił się Jack, gdy służący zaanonsował przybycie Ida wraz z jego protegowaną. Od godziny dziewiątej bowiem wpatrywał się z uporem fanatyka w ulicę wiodącą do Tokio, tak że był ich zobaczył już wtedy, gdy byli jeszcze bardzo oddaleni. Mimo to nie pospieszył do pokoju gościnnego prędzej, dopóty służący nie zawiadomił go, że goście z miasta czekają, a i wtedy jeszcze nie był pewien, co uczynić.

Ubrana była tak jak podczas pierwszej swej wizyty i oddała mu ukłon tak nizki, jak to uczy-

niła była wówczas za pierwym razem. Ujął obie jej ręce i podniósł ją ostrożnie a z nietajonem wzruszeniem.

— I znowu do mnie przyszłaś? Bardzo się cieszę, że ciebie widzę, — powiedział z radosną uprzejmością.

— Nakodo powiedzieć, ty mnie chcesz zobaczyć. Dla tego ja przyjść. — W całem jej zachowaniu się nie było śladu dawnej zalotności.

— Owszem, prosiłem Ida, ażeby mi ciebie przyprowadził. Obawiałem się, że nigdy już ciebie nie ujrzę, że mnie unikasz.

Ruszyła nieznacznie ramionami. — Ty nie chcieć mnie wziąć za żonę. Ty mnie odesłać. Co miałam robić?

— Moglibyśmy być bardzo dobrymi przyjaciółmi, nawet choćbyśmy się nie pobrali. Czy nie tak?

— Przyjaciółmi? Ja nie potrzebować przyjaciół, — odparła chłodno.

— Ale ja chciałbym mieć w tobie przyjaciółkę. Chociaż się obawiam, że to nie bardzo będzie możliwie, Ido — (zawahał się) — czy wiesz. Ido powiedział mi, że wychodzisz za mąż.

Opuściła głowę.

— Ty przecież nie jesteś jeszcze zamężna? — pytał podniecony, zapominając, że zupełnie to samo zapytanie stawił nakodowi.

— Nie jeszcze.

— Powiedz mi — im — kochasz go?

— Kogo, panie? — Podniosła ku niemu wzrok jasny, dziecięcy.

— Och! Obu naturalnie! — Wstępowała w niego złość. Odczuwał ochotę znęcania się nad nią.

— Odrobineczkę, panie!

— Bardziej niż mnie? — pytał zazdrośnie.

Potrząsnęła energicznie głową. — Ty nie taki stary, — nie mieć tyle włosów. — Mówiąc to, przeciągnęła drobnemi rączynami po swej twarzy, z czego wnioskował, że rywale jego byli brodaci. Niewątpliwie byli to jego rodacy.

Nie wiedział, coby jeszcze powiedzieć, a milczenie budziło w nim rosnący z każdą chwilą niepokój. Wreszcie pierwsza przerwała przeciągającą się chwilę kłopotliwego milczenia spokojną uwagą: — Nakodo powiedzieć, ty mnie chcesz zobaczyć.

Zwrócił się do pośrednika, który z wielkiem zajęciem zdawał się przyglądać jakiemuś rysunkowi na ścianie. — Słuchaj, Ido, czy nie chciałbyś na chwilkę wyjść do drugiego pokoju?

Ido był posłuszny, zniknął z błyskawiczną szybkością. Jack przystąpił teraz do dziewczęcia.

— Nie powiedziałaś mi dotychczas, jakie twoje imię?

— Yuki.

— To oznacza „śnieg“, prawda? Podoba mi się. A więc, Yuki, czy mógłbym cię odwiedzić, zanim wyjdziesz zamąż?

Pragnął poznać jej rodzinę i przekonać się, jak żyje.

— Bardzo biedny dom w Tokio, w taki mały dom wielki pan nie może przyjść.

— Ale ja sobie z tego nic nie robię. Chciałbym przyjść mimo wszystko. Ciebie chcę zobaczyć, nie wasz dom. Czy nie powiesz mi, gdzie mieszkasz?

Potrząsnęła głową. — Nie — powiedziała z prostotą, przyczem dodała: — Dom jest za mały. Ty za wielki, nie możesz iść do taki mały nieznaczny domek.

Odpowiedź jej zabolała go. Pragnąłby dowiedzieć się, czy ona przypadkiem nie udaje, czy nie bawi się jego kosztem. Gdy jednak spojrzał na nią ponownie, zniknęła z serca jego wszelka nieufność. Czyniła wrażenie prostej, szczerej, małej istoty, a jednak, mimo wszystko, nękała go pewność, że jej nie rozumiał.

Oczy jej, dotąd w ziemię wbite, podniosły się powoli i spoczęły na nim pytające. Co za cudowne oczy! Jakież szlachetne, przecudne oblicze! Pierś jego wezbrała serdeczną tkliwością, pochylił się i miękko ujął jej ręce. Jeżeli dotąd się wahał, to teraz w jednej chwili powziął postanowienie nieodwołalne.

— Czy przypominasz sobie jeszcze, Yuki, o co się pytałaś za ostatniej swej bytności?

— Tak, — a wzrok jej wciąż jeszcze spoczywał na nim pytający.

— Czy chciałabyś — czy wolałabyś mnie poślubić, niż którego z owych innych panów? — zapytał cicho.

— Tak — odpowiedziała głosem ledwo dosłyszalnym.

Wahał się, więc zapytała pospiesznie: — „Czy ty mnie chcieć?“

— Tak, Yuki, pragnę tego! — wyszeptał, pieszcząc jej ręce.

— To dobrze. — Mówiąc to, zadrżała lekko, pozatem jednak nie okazała żadnego wzruszenia

Zanim Jack zdążył usta swe przyłożyć do jej czoła, gdy w pokoju zjawił się Ido, uśmiechnięty, ze słowami swych życzeń zawodowych i błogosławieństw. Było przecież jasne, że w przyległem pokoju nie znalazł był żadnych obrazków, które mogłyby odwrócić jego uwagę, zaś wielka dziura w szodżi świadczyła wyraźnie, jak bardzo oczy jego i uszy były czynne. Więc pilno mu było podyktować swoje warunki.

Jack, który nieprzyjemny ten obowiązek pragnął z miejsca załatwić, szepnął Yuki, że zaraz wróci, zaczem wyprowadził nakodę do sąsiedniego pokoju.

Ido przystąpił natychmiast do przedstawienia handlowej części transakcji, co znowu młodzieńcowi naszemu było wręcz wstrętnem.

— Ależ — odparł rozdrażniony, — po ślubie otrzyma wszystko, czego tylko zapragnie i co jej będzie potrzebne.

— To nie wystarcza, — zauważył nakodo ostrożnie. — Najpierw bowiem musi być spisany kontrakt małżeński i potwierdzony przez „koszonina“ — notarjusza. Oprócz tego będzie musiał więcej

zapłacić, ponieważ Yuki jest jeszcze panną, a nie wdową.

Gdy ukończyli wreszcie omawianie tych brzydkich rzeczy, nakodo zniknął wśród rozlicznych czołobitności, a Jack wrócił do Yuki.

Zastał ją zmienioną: miejsce jej niedawnej prostoty zajęła ponownie dawna kokieterja. Cofała się przed nim, a on podchodził ku niej zmieszany i nieporadny. Po chwili zapytała podstępnie:

— Ty mnie kochać, panie?

— Zapewne! — odpowiedział pospiesznie z uśmiechem.

— Tak — potwórzyła – zapewne, – a potem wybuchła śmiechem nad własną śmiałością, i w tej chwili była tak piękna, że miał ochotę ją ucałować, lecz cofnęła się, a na twarzy jej zawitał komiczny przestrach.

— Teraz jeszcze nie można, — oświadczyła — dopiero gdy nastąpi ślub.

— Mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi, — zauważył wesoło. A zbliżając się do niej ponownie, zapytał tkliwie:

— A ty? Czy będziesz mnie kochała?

Wzrok jej spoczął wpierw na nim poważny i mocny. Następnie skinęła skwapliwie. Tym razem zaśmiali się równocześnie, lecz gdy znowu począł się do niej zbliżać, lęk jej stawał się coraz widoczniejszy. Żal mu się zrobiło, nie chciał jej przestraszać.

— Ty nie dostać żadnej innej kobiety? — zapytała.

— Nie! Bogu dzięki!

— A ja żaden inny mężczyzna, — rzuciła z uśmiechem.

— Mam nadzieję!

— A może wolałbyś ożenić się z dziewczyną japońską która już była przedtem zamężna. Ja jeszcze nie być nigdy zamężna.

— Nie, nie! czywiście, że nie: — Nie rozumiał dokładnie, o co jej właściwie chodzi.

Zaczem ciągnęła dalej: — Ty płacić więcej takim małym dziewczynkom jak ja, które jeszcze nie miały męża?

Cofnął się zrażony, ściągając brwi.

— Sprawę tę odrobiłem już z nakodą, — powiedział chłodno.

Spostrzegłszy, że go uraziła, usiłowała go teraz nanowo przejednać. Na ustach jej zakwitł uśmiech błagalny a zwodniczy.

— Mnie już nie kochać?

Ale nie rozchmurzyło się czoło jego. Swoją aluzją do pieniędzy zraniła go zbyt boleśnie.

— A może ty mnie już nie chcieć? — odezwała się nieśmiało. — Ja odejdę, ciebie pozostawię samego.

I uczyniła ruch w stronę drzwi, gdy on tymczasem zerwał się jak szalony, aby ją powstrzymać.

— Nie, Yuki! — zawołał i objął ją ramionami. Nie wyrywała się i nie protestowała, ale drżała niczem maleńkie a wystraszone dziecię. Całował ją — po raz pierwszy.

Gdy odeszła, począł rozmyślać.

Więc naprawdę miał się żenić. Tak, teraz już cofnąć się niepodobna. Zresztą, o ile o to chodzi

niema najmniejszej ochoty się wycofywać — żadną miarą. Był bardzo zadowolony, mało, był niezwykle szczęśliwy z tego, co mu przyszłość wróżyła.

Być może, że czułby się mniej szczęśliwy, gdyby w tej chwili mógł się przyjrzeć baczniej swej Yuki. Wydawała się być wesołą, gdy ją odprowadzał do dżinrikiszy. Lecz tam się znalazłszy, wolna od wszelkich spojrzeń, posmutniała. Zniknęła wszelka z jej twarzyczki wesołość. Bronzowy odcień jej cery przeszedł w barwę szarą, a podczas całej jazdy do Tokio oczy jej nieruchome jak gdyby w odrętwieniu, spoglądały przed siebie w próżnię. Gdy Ido raz ku niej się pochylił, zauważył w jej oczach łzy.

V.

Gdy wschód i zachód się łączą.

W kilka dni później byli już po ślubie. Była to skromna swych rozmiarach i cicha ceremonja, podczas której piło się bardzo wiele herbaty i podczas której też — w przeciwieństwie do większej części japońskich ślubów, nie było tego nieprzyjemnego natłoku członków rodziny i przyjaciół. Oprócz służącego Jacka, służącej i nakoda, nie było nikogo, a pieśń weselną sama Yuki odśpiewała.

Dla gniazdka swego wybrali przepyszny kawałeczek ziemi. Domek, w swoim rodzaju małe arcydzieło, wznosił się na nizkim pagórku, otoczony piękną lesistą okolicą górską. Otaczające nizkie pagórki zarysowywały się łagodnie na

tle wysokopiennych zębatych szczytów górskich, gorejących w wiecznym krwawym blasku słońca.

Strumyk mały toczył się leniwie krętą wstęgą pomiędzy pagórkami, odzwierciedlając na swej powierzchni piękno sąsiednich gór, wspaniała landszaftę i niebo. Podobny był do tęczy mieniącej się licznemi barwami. Ani jedna fala nie zakłuciła spokoju jego biegu, nawet tam nie, gdzie łączył się z zatoką tokijską.

U stóp owego pagórka widzieli jak na dłoni piękne miasto Tokio, jego rozliczne barwne światła i labirynty ulic, dokoła nich zaś wzgórza, łąki, doliny i lasy składały świadectwo mistrzowstwa w doborze barw matki przyrody.

Różowe, białe i purpurowe kwiecie czereśni i śliw szeleściło cicho. Strumienie przesłodkiego ich zapachu płynęły równo z lekkim wietrzykiem, tym uskrzydlonym posłańcem majowym, który wszystkie te ujarzmione zapachy wyswobodził mimo niezadowolonego pomruku zazdrosnej zimy, aby tylko ucieszyć wszelkie żywe stworzenia.

Tak z płomiennych myśli rozwija się miłość młodego człowieka; nie dbając o połączone kłamliwe potęgi zimnej przezorności i ostrzegawczego lęku, zapełnia się młode serce dzikiemi, burzliwemi uczuciami, których ukryć nie może.

Jack Bigelow był zachwycony a jednocześnie oszołomiony obrotem sprawy, jaki wzięły ostatnie wydarzenia. Był dla niej bardzo dobry i łagodny. Niemniej i ona przez szereg pierwszych dni zdawała się być zupełnie szczęśliwa i zadowolona. Niebawem jednak zniknęła z domu niespodzianie

i przez cały okrągły tydzień nie widział jej i nie miał o niej żadnej wieści.

Brak swej maleńkiej żony odczuwał ogromnie. Namiętnie tęsknił za jej powrotem, nieobecność jej niepokoiła go. Umiłował był jej misterne sztuki i czarodziejstwa, mimo, że tak krótki dopiero łączył ich czas.

Przy końcu ubiegającego tygodnia wślizgnęła się do ich domku cicho i niepostrzeżenie, oddając się jak zwykle swym domowym zajęciom, jak gdyby nigdy nic. Nie tłumaczyła się przed nim, gdzie w tym czasie przebywała, on znów nie chciał zdobywać jej zaufania przemocą.

Zamiast ją coraz dokładniej przenikać i poznawać, czuł się z dnia na dzień bardziej oszołomionym i coraz to mniej zdawał się ją rozumieć. Raz była pieszczotliwie oddana, naturalna, swywolna, to znowu czyniła wrażenie nieszczerej i zagadkowej. Raz śmiała się, śpiewała, tańczyła i swawoliła jak dzieciak, innym znów razem — mógłby na to przysiądz, — płakała, mimo że energicznie temu przeczyła i odnośne pytania zbywała śmiechem i kpinkami.

Kiedyś zapytał ją, czy nie chciałaby się ubrać w kostjum amerykański. Wyśmiała go i zaraz poczęła go naśladować. Wogóle miała dziwną pasję do naśladowania; naśladowała wszystko, od szczebiotu ptasząt począwszy aż do swoich małych służących.

— O, wyglądałabym tak, — zgarbiła się zabawnie, nasadziwszy jego wielki kapelusz, który zakrył niemal zupełnie jej twarzyczkę. Potem

wybuchając głośnym śmiechem, rzuciła mu się na szyję.

— Ty mnie chcieć amerykańską panią?

— Yuki, z ciebie prawdziwie mały chochlik, — odparł rozśmieszony.

— Potrzebuję nowej sukni, — odezwała się nagle, najniespodziewaniej w świecie, i wyciągnęła ku niemu swe małe różowe rączki. Nasrożył się. Niemal że nienawidził jej, gdy mówiła o pieniędzach. Mimo to wypełnił obie jej ręce drobną monetą, lecz w chwili, gdy zamierzała się wymknąć, zażądał zwrotu pieniędzy. W odpowiedzi rozległ się jej dzwięczny śmiech już za szodżą. Wiedział, że znowu się z niego śmieje.

— Jest to naturalna radość z płatków i fatałaszek, — powiedział sobie. — Jest w niej to, co się zwie kobiecością, a co właśnie jest wręcz czarującem.

Gdy nazajutrz rano siedziała naprzeciw niego przy śniadaniu, — spożywając jedną śliwkę, małą rybkę i misterną filiżankę herbaty — oznajmił jej z tajemniczą miną, że dla „ważnych interesów" musi dziś wyjść na miasto.

Chciała mu towarzyszyć, jak na wierną żonę przystało.

Nie, — przekomarzał się, — to jest niemożliwe. Są to bowiem bardzo tajemne sprawy, których przed powrotem żadną miarą zdradzić nie może.

W następstwie tego upierała się, że będzie mu towarzyszyć jak niewolnica, idąc zanim; a gdy ją wyśmiał, błagała serdecznie i pokornie, że uwa-

żać to będzie za szczyt łaski, jeżeli pozwoli jej pójść ze sobą. Już, już zamierzał opowiedzieć całą tę piękną historję i niespodziankę, jaką dla niej wymyślił, gdy nagle stała się kapryśną i oświadczyła, że ani krokiem z domu się nie ruszy, i musi iść sam do miasta, by swój tajemniczy interes załatwić.

Udał się tedy do Tokio i w swej młodzieńczej rozrzutności zakupił jedwabiu, krepy i płótna w takiej ilości, że starczyłoby doskonale na pięćdziesiąt kostjumów conajmniej.

Dziękowała mu w sposób nieco przesadny. Twierdziła, że nie będzie wiedziała, co z tylu rzeczami ma począć. Jej mała osóbka jest tak mizerna, że wspaniałości te naprawdę nie będą jej do twarzy.

„Teraz przynajmniej — pomyślał z wewnętrznem zadowoleniem — zniknie na zawsze upiór kwestji pieniężnej. Ma wszystko, co potrzebuje, odtąd będę ja sam dawał jej wszelkie rzeczy, tak, aby nie potrzebowała ich odemnie wyłudzać. To drażni mnie najbardziej."

Ale zaledwie minęło kilka dni, gdy już przybiegła do niego zaniepokojona i zadyszana. Ktoś ukradł jej te piękne rzeczy, jakie w Tokio zakupił. Nie był napewno nikt ze służby. Nie, nie, było to zupełnie wykluczone, ponieważ służba ich składała się z ludzi prostych i uczciwych bojących się bogów. Zniknęło jednak wszystko, — jakim sposobem, nie ma pojęcia. A może ona niegodna mała istota, i on, dostojna wysokość w dawniejszem swem życiu byli tak niedobrzy i bogowie ich teraz karzą? Byłoby więc bardzo

niedobrze i bezcelowe, gdyby utraconego dobra chcieli poszukiwać. Była to wyraźna wola bogów. A może rozgniewała bogów jego grzeszna właśnie rozrzutność? Tak, to było najpewniejsze. Nie ulega wątpliwości, że bogowie są zagniewani. I czyż można im się dziwić? Kupno tak wielu rzeczy naraz było naprawdę grzeszne i nie mogło się bogom podobać.

Zdawało się, że ogromnie boleje nad poniesioną stratą, i Jack do pewnego stopnia zdumiony jej wymownem uniewinnianiem złoczyńcy, próbował ją pocieszyć przyrzeczeniem, że zakupi jeszcze raz tyle rzeczy, a nawet więcej. Lecz wtedy nagle ogromnie spoważniała.

— Nie, nie, nie czyń tego! Daj mnie lepiej pieniądze, ja kupię. Ja kupię tylko bardzo mało — aby bogów przebłagać.

VI.

Mała awanturnica.

Mężczyzna leżał wprawdzie w hamaku, ale nie spał. Mimo widocznego rozleniwienia i niedbałości w ułożeniu i mimo, że wielki kapelusz przysłaniał szare oczy, czuł się zupełnie rzeźki i zajmował się żywo pewnem małem stworzeniem, które w nieznacznem oddaleniu siedziało na macie. Kilka razy już był ją prosił, ażeby się przysunęła, ale jak dotąd zupełnie bezskutecznie. Zajęta była braniem do ust wisien zimowych i wydmuchiwaniem ich pestek. Szczególniejsze to zajęcie uprawiała spokojnie bez przerwy nie zważając przytem bynaj-

mniej na przekonywujące słowa, zachęcające ją od strony hamaka.

Słuchaj, Yuki, w hamaku starczy miejsca na dwoje. W tym celu właśnie kazałam go zrobić.

Była niewzruszona. Ani na chwilę nie przerwała swego zajęcia, ani też zaszczyciła go odpowiedzią. Jednem okiem tylko spojrzała na niego z boku i mrugnęła znacząco.

— Co się z tobą dzieje, Yuki? Czy dziś znowu humorek melancholijny?

Milczenie.

— Pani Bigelow zechce uważać na to, co mówię: jeżeli mnie nie usłuchasz, przeniosę cię przemocą.

Uśmiechnęła sie lekceważąco.

— Tak, to mi się podoba! Śmiej się, Yuki! Gdy się uśmiechasz, roztaczasz urok wręcz nieprzeparty.

Yuki skinęła główką ceremonjalnie, chłodno, obojętnie.

— Czy chciałby i kochał, gdybym się zawsze śmiała?

— Bynajmniej, tego nie pragnę — zawołał rozweselony. — Byłoby to zbyt nudne.

— Dlatego też ja się dzisiaj nie śmieję.

— Dlaczego?

— Ponieważ śmiałam się wczoraj przez cały dzień.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

— Przysuń matę bliżej, Yuki, — i wskazał miejsce obok hamaku, — pragnę z tobą pogawędzić.

— Uszy moje są...

— Za małe, aby w tem oddaleniu słyszeć, — przerwał małżonek. — No, chodźże!

— Dziękuję — wypowiedziała to z wielką powagą. — Tu bardzo wygodnie. Nie chcę być tak blizko ciebie, panie.

— Proszę, i czemuż to?

— Czemu? Hm! Wiem dobrze. Ja być twoją małą niewolnicą.

— Jesteś moją żoną, ty mały figlarzu.

— Żoną? Oh nie. — Czyniła, jak gdyby się nad czemś zastanawiała.

— W takim razie usidliłaś mnie w fałszywe małżeństwo, — oświadczył mąż bardzo srogo.

— To błąd nakody.

— Co takiego?

— Że jestem twoją żoną, i — z pewnem wahaniem — sługą.

— Fałsz! Wobec tego przybliż się do mnie, sługo! Sługi muszą być posłuszne.

— Nie taki zły pan, co tak krzyczy — zaśmiała się wyzywająco. — W takim razie sługi muszą trzymać się jak najdalej od takiego krzyczącego pana.

— A żona jego?

— Odrobinkę bliżej. — Przysunęła się ledwo o pół cala. — Żona różni się odrobinkę od sługi.

— Czy pani Bigelow wiadomo, że nie wypełnia swego kontraktu? Przysięgłaś mi cześć i posłuszeństwo...

Uśmiechnęła się drwiąco.

— Tak, tak! to przysięgłaś!

— Nie, ja tego nie czynić. To dzieje się tylko przy chrześcijańskim ślubie.

Uniósł się zdumiony.

— Co ty wiesz o ślubach chrześcijańskich?

— Odrobinkę.

— Yuki, chodź do mnie!

— Czy mam zaśpiewać?

— Chodź do mnie!

— Lubisz, gdy tańczę? — Odrobinkę tańca latowego?

— Chodź do mnie! — A cóż to za taniec latowy?

Pobiegła szybko do drugiego pokoju, i wróciła niebawem przebrana. Miała na sobie powiewne kimono barwy pomarańczowej, a włosy i piersi jej zdobity duże płomienne maki.

— To jest blask słońca — objaśniła, unosząc nieco szatę z obu stron i zawirowawszy w miejscu.

— Ja, bogini słońca, a ty — zimna, czarna ziemia. Ja schodzę na dół, aby ciebie rozgrzać swemi promieniami słonecznemi.

Chwilę stała spokojnie: głowa w tył odrzucona, twarz promieniejąca, usta lekko rozwarte; uśmiechała się, ukazując dwa równe rzędy białych drobnych zębów. Zaczem w lekkich poruszeniach poczęła się słaniać naprzód i w tył. Wietrzyki letnie szeptały westchnienia i śmiały się z nią pospołu. Twarzyczka jej promieniała ponad powiewną postacią, jej rączki i obnażone ramiona poruszały się z nieopisanym wdziękiem.

— Ależ ty jesteś wręcz gienjalną — zawołał, gdy lekko jak piórko do nóg jego się osunęła.

— To napewno, — potwierdziła filuternie.

Jej pewność siebie działała na niego zawsze rozweselająco. Wziął więc swój kapelusz i rzucił ku niej z taką zręcznością, że padł prosto na jej głowę. Zaśmiała się wesoło z racji jego celności, założyła następnie kapelusz na oczy i ułożyła się na macie, naśladując tym sposobem jego ulubioną pozycję. Zaśmiał się głośno. Był w znakomitym humorze. Miesiąc już minął, jak się pobrali, a ona, za wyjątkiem tego jednego razu, ucieczki swej nie powtórzyła. Począł wierzyć, że tego już więcej razy nie uczyni.

Ona znów, spostrzegłszy jego dobry humor, przemyśliwała nad tem, jakby sposobność możliwie najlepiej dla siebie wyzyskać. Uchwyciła tedy zębami brzeg jego kapelusza, i naśladując małpkę, poczołgała się ku niemu na czworakach, domagając się nagrody za swój taniec.

Wyciągnął swe długie ramiona, żeby ją pochwycić, lecz napróżno: umknęła mu zręcznie.

— Za to piękne przedstawienie ty musisz zapłacić!

Rzucił jej sena. Skrzywiła się.

— To wszystko? — zawołała straszliwie rozczarowana. Mimo, że pokrywała się w tej chwili maską aktorską, nie uszedł jego uwagi błysk chciwości, jaki zamigotał w jej oczach. Pierzchnął dobry humor.

— Słuchaj, Yuki, — rzekł twardym głosem, — w tym tygodniu dostałaś około pięćdziesiąt do-

larów. Pieniędzy tobie nie skąpię, ale raczej kazałbym się powiesić, niż gdybym miał tolerować dłużej te ciągłe wyłudzania. Nie masz przecież żadnych wydatków; nie rozumiem zgoła, co z temi pieniędzmi robisz.

— Ja składać, — odpowiedziała tajemniczo, sama zdumiona tym świetnym wybiegiem.

— Na co?

— Tak, jak wszyscy ludzie. Może ja kiedyś nie mieć więcej tak wiele pieniędzy. Co potem robić? Więc lepiej teraz składać?

— Jesteś moją żoną; biedy nigdy nie zaznasz

— Oh, ty mnie wziął za żonę tylko na małą chwilkę.

— Ładne masz o mnie pojęcie.

— Tak, ładne o tobie pojęcie, — powtórzyła za nim.

— W pewnym banku w Tokio zdeponowałem dostatecznie wiele pieniędy, tyle, że wystarczyłyby ci na całe życie. Gdybym kiedyś miał być zmuszony opuścić ciebie, Yuki, na jaki czas, nie zabraknie ci niczego.

— Ale, — zauważyła skwapliwie, — jeżeli ty mnie opuścisz, ja być wdową. Ja wtedy nie być twoją żoną, więc nie mogę brać twych pieniędzy. — Wypowiedziała to z szlachetną dumą.

— A jakże! Twoje wątpliwości co do brania mych pieniedzy są conajmniej bardzo niezwykłe

— Jeżeli ty mnie opuścisz, — zaczeła na nowo

— Czemu wciąż to powtarzasz? Nie mam najmniejszego zamiaru ciebie opuszczać!

— Co!? Ty na zawsze przy mnie pozostać!? — Była naprawdę przerażona. W słowach rozbrzmiewało znacznie więcej lęku, niż radości.

— Czemużby nie? — odciął ostro, obrzucając ją surowem, może nawet dzikiem nieco spojrzeniem.

— Mój władco, — powiedziała pokornie, — ja nie mogę tego słuchać. Byłoby to niesłuszne; za wielka ofiara dla twego szlachetnego życia.

Nie zupełnie był pewien, czy z niego kpi, czy też mówi szczerze.

— Nie potrzebujesz się tak obawiać; na zawsze prawdopodobnie tu nie pozostanę, — rzucił szorstko i odwrócił sie do niej plecami.

Nagle uczuł dłoń jej na swej twarzy. Stała przy hamaku. Był wciąż jeszcze bardzo zagniewany i nadąsany. Zamknął oczy i marszczył czoło, wiedział jednak dokładnie, jaką teraz stroiła minkę, wiedział również, że, gdyby teraz na nią spojrzał, uległby jej sromotnie. Jedwabne swe palce położyła na jego oczach, roztworzyła je delikatnie i ucałowała je cicho, niby ptaszyna jaka najmniejsza. Zaczem wsunęła się powoli a ostrożnie do hamaku, nie troszcząc się o to, że zdawał się wcale na nią nie zważać.

— Szlachetny panie, — odezwała się po chwili, obejmując szyję jego i nad nim się pochylając, — posłuchaj mnie!

— Słucham!

— Patrz na mnie.

Spojrzał, jeszcze się boczył, ale niebawem uśmiechnął się i pocałował ją. Zaśmiała się zcicha, a był to śmiech osobliwy, triumfujący Za-

mierzał się znowu gniewać, lecz ona zcałowała mu z coła zmarszczki, zamieniając je ponownie w uśmiech. Poczem uniosła się.

— Przoszę przebaczyć mi. Yuki siedzieć będzie u twych nóg i z tobą gawędzić.

— Czyż tu gawędzić nie możesz? — pytał zazdrośnie.

— Nie tak dobrze. Yuki tu w głowie się kręci. Pozwolić, proszę, — przymilała się. Uległ wreszcie, mrucząc coś pod nosem. Usiadła więc na podłodze i westchnęła głęboko a podstępnie.

— No, cóż nowego?

— Ty wiesz, ja chcieć ci opowiadać o pieniądzach.

— Wiem, — odpowiedział głosem znudzonym. — Pozostawmy tę kwestję pieniężną, mam jej już po same uszy.

— Ja tobie chcieć wszystko wyznać.

— Więc co takiego?

— Ja mieć siedmnaścioro rodzeństwa! — rozpoczęła powoli i uroczyście.

— Co takiego! — Z przerażenia o mało nie wypadł z hamaku.

— Siedmnaścioro! — W głosie jej zdawała się rozbrzmiewać tragedja najtragiczniejsza.

— Gdzież oni przebywają?

— Ach, w najbiedniejszej dzielnicy Tokio.

— A rodzice twoi?

— Ach, ojciec i matka tacy starzy, — zgarbiła się i pokaszlując, czołgała się powoli i mozolnie po pokoju.

— I co dalej? — pytał natarczywie..

— Ja dawać wszystkie pieniądze starym rodzicom i siedemnaściorgu rodzeństwu. Tylko to mają, co mają odemnie. Ja dla nich wszystko na całym tym świecie.

— Czyż żadne z nich nie pracuje? Żadne z nich nie jest zamężne? Cóż oni właściwie robią?

— Ach, nie! Oni wszyscy za młodzi do pracy, lub małżeństwa.

— Za młodzi, wszyscy?

— Tak. Ja — ile lat ja mieć? Ja z nich najstarsza. Ja mieć lat dwadzieścia ośm — nie, trzydzieści! — oświadczyła uroczyście.

Znowu się przeraził. Wiedział, że była jeszcze dzieckim niemal, wiedział też, że go okłamywała; także już przedtem kłamała.

— Chociażbyś miała lat trzydzieści, to przecież nie mogę pojąć, skąd rodzeństwo twoje miałoby być o tyle młodsze od ciebie.

Zmieszała się na chwilę.

— Mój ojciec mieć dwie żony! — oświadczyła wreszcie z triumfem.

Przyglądał jej się czas jakiś w milczeniu. Mina jej zakłopotana i zrozpaczona nie przekonywała go bynajmniej. Mimo to byłby najchętniej wybuchnął głośnym śmiechem, tak komiczny był ten mały łgarz.

— Wiesz ty, jak nazwanoby ciebie w mej ojczyźnie? — odezwał się wreszcie w tonie poważnym.

Spojrzała na niego pytająco.

— Awanturnicą!

— Ach, jak pięknie! — Westchnęła z nadmiaru błogiego uczucia. — Ja chciałabym żyć w twej ojczyźnie — być awanturnicą!

— Ile teraz potrzebujesz, Yuki?

Udawała, jak gdyby musiała dopiero na palcach obliczać, zaczem oznajmiła.

— Dwadzieściapięć dolarów.

Dał, a ona ukryła je w kimono. Przyglądał się jej ciekawie. Co ona też zrobiła z temi wszystkiemi pieniędzmi, które od niego otrzymała?

Nagle stawiła mu zgoła nieoczekiwane zapytanie:

— Powiedz, ile kosztować podróż do Ameryki?

— Ile? O, nie wiele. Zależy od tego, jak chcesz jechać. Czterysta do pięciuset dolarów, mniejwięcej.

Westchnęła.

— A ile kosztować podróż z powrotem, do Japonji?

— Również tyle.

Znowu westchnienie.

— Słuchaj mnie, dobry panie, ja chcieć jechać do Ameryki. Proszę, daj mi tyle pieniędzy.

— Ależ Yuki, przecież kiedyś zabiorę cię ze sobą.

Propozycja ta przeraziła ją.

— Och, dziękuję — tak, kiedyś — oczywiście. — A po chwili namysłu zapytała:

— A czy dużo więcej potrzeba nad trzysta, czterysta dolarów?

— Jasne! jakie drugie tyle na wszelki wypadek — a może jeszcze więcej.

Westchnęła głęboko. Wiedział, że teraz nie udawała.

Gdy kilka dni potem czynił przegląd gustownych jej szat a szperanie w jej rzeczach należało do najmilszych zajęć Jacka, — natrafił przypadkiem na nieznaną sobie dotychczas szkatułkę; Yuki przebywała w tym czasie w ogrodzie, zrywając kwiaty do obiadu. Otworzył szkatułkę i ujrzał na wierzchu garść biżuterji, które kupił jej przy różnej sposobności, gdy towarzyszyła mu do miasta. Szukał głębiej i znalazł coś, co wprawiło go w zdumienie. Była to paczka banknotów. Wyjął ją i przeliczył; zawierała niespełna stopięćdziesiąt dolarów. Usiłował uprzytomnić sobie, ile pieniędzy dał jej dotychczas wogóle, zaczem stwierdził, że mniejwięcej jeszcze raz tyle. A więc składała na prawdę! Lecz w jakimże celu?

A ponieważ odkrycie to wzbudziło w nim niepokojące podejrzenia, przeto podjął dalsze gorączkowe poszukiwania. Zdumienie jego rosło z każdą chwilą: w pokojach jej znalazł w ukryciu jedwabie i krepy, które za ostatniej bytności w mieście zakupił był w tak mnogiej ilości, a co do których utrzymywała, że je skradziono. Zwinięte były w wałek, niby dywan wielki, i nakryte dużym koszem.

VII.

Moja żona.

Zdarzyło się że mała żoneczka zniknęła po raz drugi. Jack był bardzo nieszczęśliwy. Ogro-

mie odczuwał je brak, jakkolwiek się do tego nie przyznawał, był bowiem srodze na nią zagniewany.

Gdy ongi opuściła go po raz pierwszy wkrótce po ślubie, nie odczuł jej niebecności tak głęboko jak teraz właśnie, gdy się już do niej był przywiązał, gdy stała się cząstką jego Ja. Dwa miesiące już żyli ze sobą; w tym czasie stała się ona czemś więcej dla niego, niż przelotną miłostką albo uroczym kaprysem przemijających upodobań. Zdawał sobie z tego sprawę, mimo że jednocześnie w podnieceniu usiłował wmówić w siebie wręcz coś przeciwnego.

Zimno i pusto było bez niej w mieszkaniu. Każdy przedmiot przywodził mu na pamięć jego małą żoneczkę. Tu leżała para malusich sandałów, tu znów lśniąca kanzaszi*), jej koto, jej samisena; w saloniku i w własnym jej pokoiku i w całem wogóle mieszkaniu unosił się lekki zapach ulubionego jej perfum, które, mimo że było słabe, mało intensywne, przyprawiało go niemal o zawrót głowy.

Powoli począł nienawidzić tę martwą ciszę pokojów. Nie wielkie utrzymywali gospodarstwo, służbę stanowili: służący i dziewczyna dla Yuki. Obecnie jednej tylko zabrakło osoby, a przecie — jakże bolesna zapanowała cisza! Teraz dopiero przejrzał czem była dla niego ta mała kobietka. Uciekał z domu i przebywał zdala możliwie

*) Kanzaszi — długa, artystycznie wykończona szpila, używana przez Japonki do ozdoby włosów.

najdłużej. A gdy wracał, gdzieś na dnie serca czaił się zawsze słaby promyk nadziei, że może — może w pustocie swej ukryła się gdziekolwiek, że znienacka wyskoczy ze swego ukrycia, aby go przerazić, jakto często zwykła była czynić. Próżne nadzieje. I gdy już drugi dzień minął na takiem nadziejnem oczekiwaniu, doszedł do przekonania, że naprawdę uciekła. Nie posiadał się z gniewu i rozpaczy.

Nie miała prawa opuszczać go tak bez słowa wytłumaczenia. Jakże mógłby się teraz dowiedzieć, dokąd odeszła, i czy jej się przypadkiem co złego nie przytrafiło? Stał chwilę na balkonie, potem udał się do ogrodu i błąkał się niespokojnie z ścieżki na ścieżkę, widząc wszędzie dokoła siebie okropną próżnię. Czekał na nią a to oczekiwanie podwajało jedynie jego męczarnie.

Powróciła po czterech dniach. Jak cień wśliznęła się do domu i pobiegła do swego pokoju. Słyszał szelest jej kroków, wiedział, że przyszła lecz mimo to żelaznem wysiłkiem woli zdołał okiełznać swoje pierwsze uczucie radości; opanował swoje chęci i nie pobiegł do niej, a tylko rzucił się na otomanę, przybierając zrazu maskę obojętności chłodnej i odpychającej.

Wtem usłyszał jej głos. „Toko-ton-yare-ron-ton-ton!“ — śpiewała. Śpiew płynął ku niemu szeroką falą, każdy jej cudny ton mołowy porywał go wwiercał się w mózg i serce, brał duszę jego w niewolę. Potem głos zamilkł na chwilę. Zdawała się czekać na niego. Nie ruszył się. Gnie-

wał się na nią naprawdę. Nie mógł jej tak łatwo znowu przebaczyć.

Niebawem poczęła grać na samisenie. Słyszał jak na górze w swym pokoiku rozgłośnie hałasowała, i zrozumiał jej zamysły. Pragnęła przywabić go do siebie. Nagle zbiegła niemniej hałaśliwie po schodach i z radosnym dzwięcznym śmiechem wpadła do jego pokoju.

Udał, że jej nie widzi. Przerwała śmiech, a przechyliwszy figlarnie swą główkę i skradając się ku niemu na palcach, przyglądała mu się bacznie.

— Pan mój zagniewany na Yuki? — badała zakłopotana.

Milczenie.

— Szlachetny pan bardzo zagniewany na Yuki?

Znowu milczenie.

— Mój władca bardzo a bardzo zagniewany na Yuki?

Jack obrzucił ją lekceważącem spojrzeniem i milczał.

Teraz dopiero zadzownił znowu jej śmiech śmiech, w którym brzmiała radość a zarazem jak gdyby ledwo dostrzegalna nuta szyderstwa.

— Ha ha! Pan Bigelow bardzo, bardzo, bardzo się na mnie obraził.

— Zdaje się że to ci wielką sprawia przyjemność, — odciął się Jack z gryzącą ironją i odwrócił się od niej.

Zaśmiała się złośliwie.

— Ach, ślicznie tak!

— Co takiego? — zapytał głosem twardym.

Ze jesteś taki zagniewany. Ależ ty wyglądać jak taki wielki, wielki — zaraz, jak ty to mówisz?

— aha, jak taki wielki toranadodo Zazwyczaj wymawiała poprawnie „tornado", lecz teraz pragnęła rozśmieszyć go za wszelką cenę. Dowcip jednak chybił celu. Chwyciła się innego sposobu.

— Jaki ty zmieniony! — westchnęła w zachwycie.

Jack mruknął coś niezrozumiałego pod nosem.

— Mój Boże! Ja wierzyć, ty stałeś się ładniejszy — zauważyła.

Jack zerwał się, i z rękoma w kieszeniach podszedł do okna, odwracając się do niej ostentacyjnie plecami i świstał podniecony. Zbliżyła się do niego z udanym lękiem i stanęła opodal okna.

— Ty się cieszyć, że mnie znowu widzieć?

— Nie! — rzucił krótko.

Jego stanowcza odpowiedź przejęła ją lękiem Poczęła tracić zwykłą sobie pewność siebie.

— Chcieć, abym ja odeszła? — zapytała szeptem.

— Tak!

Ociągała się jeszcze chwilę, poczem powiedziała cicho:

— A-bah!*)

Jakkolwiek jej nie widział, czuł, że się oddala powoli, bardzo powoli, jakby z trudem wielkiem. Słyszał szelest rozsuwającej i zasuwającej się szodżi. Był sam! Pobiegł za nią i zawołał ją głośno po imieniu. Przybiegła z powrotem i rzuciła się w jego ramiona. Tulił ją do piersi silnie, coraz silniej. Gniew jego przepadł bez śladu, na jego twarzy malowało się teraz znużenie. Obawa, że mógł ją może znowu utracić na zawsze, poko-

*) Ach, to tak!

nała go. Napróżno usiłowała wydostać się z jego ramion. Usiadł na pobliskim taborecie i usadowił ją wygodnie na swych kolanach. Śmiała się znowu i dąsała jednocześnie z powodu jego mizernego wyglądu.

Mój Boże! — szczebiotała. — Ty wyglądać, jak stary kapłan chiński w pagodzie! — Wydłużyła twarz i palcami podniosła zewnętrzne końce swych pięknie zarysowanych brwi. Zaczem drżącym starczym głosem zaintonowała kilka podniosłych słów, kpiąc swawolnie z religji swych przodków.

Ale Jack pozostał mimo wszystko poważny. — Yuki — odezwał się wreszcie, — bądź na chwilę poważna i słuchaj.

— Już słucham, mój pan poważnicki! Ty wyglądać jak —

— Gdzie podziewałaś się tak długo?

— Oh, tylko na małej wizycie.

— Gdzie podziewałaś się tak długo? — powtórzył uporczywie.

— Zapomniałam.

— Odpowiedz!

Udawała, że się namyśla, że usiłuje sobie przypomnieć, przyczem westchnęła kilka razy.

— Ja chętnie zapomnieć.

— O czem?

— O tem, gdzie byłam.

— Czemu?

— Bo to takie smutne. Ach, ja odwiedziłam stary ojciec i matka, dziewięćdziesiątjeden i sto lat, i siedmnaście braci i sióstr. Ty bardzo za mną

tęsknić? — Pragnęła coprędzej zmienić temat rozmowy.

— Nie! — powiedział twardo, dotknięty jej matactwem.

— Yuki nie wierzy!

— Gdzie byłaś, Yuki?

— Czemu chce wiedzieć, skoro mnie wcale nie kocha?

— Czy powiedziałem to?

— Ty powiedzieć, że za mną nie tęskniłeś.

— Kłamałem, — odrzekł nie bez goryczy. — Gdzie byłaś?

— Tylko na drugiej stronie ulicy, odwiedziłam moją starą przyjaciółkę w herbaciarni.

Sądziłem, że odwiedziłaś swych starych rodziców i siedmnaściorga braci i sióstr?

Nie okazała najlżejszego zakłopotania.

— Słuchaj, ty najpierw mówić, że mnie nie kochasz, potem, że kłamiesz. Tymówić wielkie kłamstwa, a ja małe.

— Yuki, zapamiętaj sobie: jeżeli jeszcze raz mnie opuścisz, nie potrzebujesz już wogóle wracać. Rozumiesz?

— Nigdy?

— Owszem, nigdy!

— A co ty potem zrobić? Wziąć inną na żonę?

Odtrącił ją z dziką pogardą. Zanosiła się od śmiechu.

Usiadł zdala od niej i w rękach ukrył twarz umęczoną bólem niepewności, jaki siepał jego duszę znękaną. Yuki obserwowała go przez chwi-

lę, zaczem podpełzła ku niemu cichuteńko, odsunęła ręce jego od twarzy i ucałowała jego usta.

— Strasznie tęskniłem za tobą, — powiedział głosem chrypliwym ze wzburzenia.

Była najwidoczniej szczerze skruszona.

— Mnie tak bardzo żal. Nie wiedziałam, że tobie tak zależy na biednej, małej Yuki i myślałam, że lepiej będzie już wcale nie wrócić.

— Czemu więc przyszłaś? — pytał łagodnie.

— Musiałam, — odparła, zatopiona w swych myślach. — Moje nogi chciały biedz do ciebie z powrotem, moje oczy chore, gdy ciebie nie widzą, moje ręce tęsknią, gdy ciebie nie dotykają.

Stała się nagle poważna i melancholijna.

Po chwili znowu się nieco ożywiła.

— Przyniosłam dla ciebie, mój władco, coś bardzo a bardzo ładnego.

— A co takiego, Yuki, kochanie ty moje? — Tulił ją do siebie serdecznie, nie chcąc jej puścić z swych objęć.

— Kwiaty, piękne kwiaty.

Puścił ją. Wróciła niebawem, niosąc w ręku olbrzymią wiązkę azalji. Zanurzyła w nich swoją twarzyczkę.

— Ach, — zawołała w zachwycie, — kwiaty najpiękniejsza rzecz na świecie, a wszystkie kwiaty dla ciebie, tylko dla ciebie!

— Skąd je wzięłaś, luba moja? — zapytał i na nowo jął tulić ją wraz z kwiatami. Zawahała się nieco, zaczem odrzekła z dawnym wyzywającym uśmiechem:

— Prezent grzecznego Japończyka.

Uchwycił jej rękę w żelaznym uścisku.

— Co mówisz? — nacierał wściekły, oszalały nagłym wybuchem zazdrości.

Odepchnęła go i z niemym wyrzutem przyglądała się swej małej sponiewieranej ręce.

— Nie wstydzi się? — pytała.

— Bardzo! — westchnął cicho i począł jej ręce obsypywać pocałunkami gorącemi bez pamięci.

— Powiedz mi wszystko, mała! Powiedz, proszę, nie ukrywaj niczego przedemną! Inaczej oszaleję!

— Ten Japończyk chciał się ze mną ożenić, — oświadczyła spokojnie z lekceważącym uśmiechem. — Boże! Jak on mnie błagał!

— Z tobą chciał się ożenić? Co to ma znaczyć? Przecież jesteś moją żoną!

— Tak, ale on tego nie wiedzieć, — oznajmiła uspokajająco, — i widzisz, kwiaty te ja przynieść dla ciebie!

Wziął kwiaty z jej rąk. Były pogniecione, i to ją zasmuciło. Żadna Japonka nie może patrzeć spokojnie na poniewieranie kwiatów. Ze smutkiem spoglądała na kwiecie, które, oderwane od gałązek, opadło u jej stóp. Westchnąwszy głęboko, spojrzała ku niemu, a w oczach jej migotały dwie duże bolesne łzy.

— Najpiękniejsze rzeczy na całym świecie — powiedziała, wskazując na kwiaty, — takie czyste, takie piękne, takie słodkie.

— A ja znam coś, co jest znacznie piękniejsze i znacznie słodsze i znacznie... znacznie czystsze.

— Ach, co to takiego? — zapytała, a twarz jej promieniała coraz bardziej, a w oczach jej ukazały się błyski radości i rosnącego zaciekawienia.

— Moja żona! — szepnał jej w uszko.

VIII.

Dom rodzinny Yuki.

Yuki wcale o tem nie wiedziała, jakiego w osobie Jacka ma kontrolera swych oszczędności. Zaglądał do jej szkatułki codziennie. Paczka banknotów rosła, nabierałą wagi. Nigdy jej teraz nie odmawiał, gdy prosiła o pieniądze. Oszczędności były już dosyć znaczne. Ostatnim razem naliczył okrągło czterysta dolarów. Postanowił kwotę tę podnieść do pięciuset, więc dnia tego wręczył jej banknot studolarowy.

Musiała mu uroczyście przyrzec, że go już nigdy nie opuści bez jego woli i wiedzy — i cały miesiąc siedziała też wytrwale w domu. Był to dla niego najszczęśliwszy miesiąc w życiu, pełen słońca i upojenia.

Ale tego samego dnia, w którym jej wręczył owe sto dolarów, przyszła do niego z pokorną prośbą o pozwolenie odwiedzenia starych rodziców i siedemnaściorga rodzeństwa. Opowieść tę bowiem podtrzymywała w dalszym ciągu. Odmówił jej dosyć opryskliwie; przyzwyczajony do jej stałej troski o jego dobro, stał się samolubnym. Cały dzień śledził za nią podejrzliwie, pełen lęku, że mu ucieknie. Przypuszczenie nie omyliło go. Nad wieczorem, gdy na chwilę go opuściła, spostrzegł, jak wyszła z domu. Wziął

tedy pospiesznie kapelusz i szedł za nią w pewnej odległości, mając ją stale na oku.

Półmrok rozpoczynał już, swe panowanie. Ciemność zwolna, ale nieubłaganie pochłaniała cudne czerwone i złote promienie zachodzącego słońca, które, rozjaśniwszy raz jeszcze przepysznym blaskiem tonie morskie, zniknęło nagle, jak gdyby zatopione w jego głębinach.

Yuki szła pospiesznie w stronę Tokio. Nie była to wprawdzie droga daleka, mimo to przecież dręczyła go ustawicznie myśl jedna: troska o jej maleńkie nóżki, które taki kawał iść musiały i to o tak spóźnionej godzinie. Postanowił iść za nią bez względu na to, dokąd spieszyła i w jakim celu. Obiecywał sobie, że jako należącej do niego niepodzielnie, nie pozwoli jej więcej od siebie uciekać.

Widocznem było, że Yuki zna swoją drogę doskonale. Zaszedłszy do Tokio, nie okazywała najmniejszego lęku, ani wahania, przeciwnie podążała szybko i pewno. Zatrzymała się dopiero na wielkim końcowym przystanku w Szimbaszi. Był to jednakże poważny kawał drogi. Zdawała się być znużona; gdy bowiem zbliżyła się do okienka, by wykupić bilet do jednego z miasteczek pod Tokio, miała oczy silnie podkrążone.

Jack zbliżył się również do okienka, a dowiedziawszy się, dokąd jedzie, kupił bilet do tej samej stacji.

Teraz rozpoczęła się długa podróż w niewygodnym wagonie, gdzie nie było najmniejszych urządzeń do spania. Yuki znalazłszy wolne

miejsce, siedziała cicho, patrząc w ginący w oddali mrok wieczorny. Po chwili przechyliła głowę i usnęła, mimo ciągłego szamotania i chybotania pociągu.

Jack znajdował się bardzo blisko niej — bo w sąsiednim przedziale. Mógł ją był dosięgnąć ręką, byłby to nawet bardzo chętnie uczynił, ale obawiał się zbudzić ją i przerazić.

Gdy dojechali do owej małej mieściny, obudził ją trzask drzwi, dźwiek trąbki i głośne wołanie konduktora. Wystraszona zerwała się, pozbierała swoje rzeczy i pospiesznie opuściła wagon. On podążał stale za nią.

Miasto, do którego przyjechali, było ciche, ładne, na pozór zamieszkałe jedynie przez zamożnych Japończyków. Ich, ludzi przyzwyczajonych do ruchu wielkomiejskiego w Tokio, do tych niezliczonych wązkich ulic z groteskowemi godłami i panującej tam wrzawy szalonej, owiało tu powietrze jędrne, orzeźwiające i cisza kojąca.

Yuki nie miała daleko; zaledwie uszła kilka kroków od stacji, stanęła przed jednym ze staromodnych, pretensjonalnych nieco pałacyków szlacheckich. Na domu i w ogrodzie widoczne były ślady zaniedbania; dworek zapadał się w ziemię, a częścią nawet rozpadał się w ruinę. Yuki zmęczona, oparła się na chwilę o bramę opuszczonego ogrodu, wreszcie otwarła ją i szła gankiem krokiem powolnym, a w końcu zniknęła zupełnie w cieniu drzew.

Przez długi czas stał na tem samem miejscu, jak gdyby wrośnięty w ziemię. Wreszcie skiero-

wał się wolno ku dworcowi, wykupił bilet i wrócił do Tokio. Pierś jego przepełniało uczucie spokoju i pewności, że Yuki wróci do niego.

I wróciła też w przeciągu niespełna dwuch dni; Tym razem okazał się bardzo łagodnym względem niej; nie pytał już o nic i żadnych nie żądał wyjaśnień.

Ona tymczasem stała się uderzająco czułą i pokorną. Znikły zupełnie dawne jej drwinki i błazeństewka. Była wręcz aniołem dla niego, okazując mu na każdym kroku dużo serdeczności i troski. Kiedyś wprawdzie ujrzał ją zalaną łzami, ale twierdziła, że to skutkiem śmiechu łzami zaszły jej oczy. Innym znów razem, gdy chciał jej dać nieco pieniędzy, odsunęła je gwałtownie; zdarzyło się to poraz pierwszy, odkąd była u niego. Nie przyjęła nawet naprzód umówionej tygodniowej pensji. Któregoś dnia zajrzał do jej szkatułki pusta.

Jej łagodność i serdeczność utwierdziły jego do niej zaufanie; był pewnym, że go więcej nie opuści. Wspomniał jej o swem zaufaniu, ona nie dawała nowych przyrzeczeń, ale łzy stanęły jej w oczach. Z chłopięcą natarczywością nalegał na nią:

— Powiedz, że mnie już nigdy nie opuścisz!

— Nigdy — mówiła, ale brzmiało to raczej jako pytanie.

— Powtarzaj za mną — domagał się, — Mów: ja — ciebie — nigdy — nie opuszczę!

— Ach, ty żartujesz ze mnie — zawołała.

Ale Jack był niezwruszony i musiała wolno, słowo za słowem powtarzać, że pozostanie u niego, pokąd ich śmierć nie rozłączy.

Pewnego dnia zastał ją wielce zajętą przy swem małem biurku. Mała jej rączka przesuwała się szybko po papierze, malując niezwykłe znaki pisma japońskiego.

— Co robisz? Wyglądasz tak uczenie i uroczyście, niby Budda rodzaju żeńskiego.

Yuki złożyła list i zakleiła ga starannie. Nie odpowiadając na jego interpelację, wyciągnęła ku niemu pobrudzone palce, aby pokazać ślady atramentu. On usiadł przy niej i ucałował koniuszki jej palców.

— Do kogo pisałaś, kochanie?

— Do kogo? Do brata.

— Do brata? O, to ty masz rzeczywiście brata? A gdzie on przebywa?

Zawahała się, a on patrzył na nią uważnie.

— W Japonji, — rzekła po długiej chwili.

— Japonja jest krajem dosyć dużym, — zauważył natarczywie. — Ma dość dużo miejsca nietylko dla jednej osoby; jak sądzisz?

— Japonja to bardzo mały kraj — rzekła, starając się usilnie zmienić temat. — Ameryka wielka, wielka jak pół całej ziemi...

— Nie zupełnie taka wielka — przerwał z uśmiechem.

— Nie? To jak ćwierć ziemi, — oświadczyła. — Ale Japonja! Zupełnie nieznaczny kawałek ziemi na wszystkich dużych mapach.

— A w której części Japonji żyje twoja rodzina?

— W małem miasteczku, dwieście mil na północ od Tokio.

— Aha. — Przekonał się, że mówi prawdę.

— Czemu twój brat nie odwiedzi cię nigdy?

Ponieważ już raz zaczął, pozostał przy tym temacie.

On nie wie, gdzie ja jestem, — odparła.

— Nie wie? To osobliwe! I czemuż on nie wie?

— Boję się powiedzieć.

— Czemu?

— Lękam się, że niechciałby mnie więcej znać.

— Dlaczego by?

Sprawa ta poczynała go zaciekawiać. Właściwie niechętnie wdzierał się w jej tajemnice, ale tym razem była ciekawość silniejsza od niego samego.

— Czemu miałby się ciebie zaprzeć? — powtórzył.

— Że wyszłam zamąż, — mówiła smutno, z pewnem wahaniem, ujęła mocno jego ręce w swoje i ściskała je błagalnie, jakoby chciała prosić o zaniechanie dalszych pytań.

— I czemu? — rzekł — dlatego, że wyszłaś za mąż...

— Za ciebie, — dokończyła.

— O! — wykrzyknął żałośnie. Poczem roześmiał się i pogroził jej palcem.

— I czemuż to? Czy przedstawiam niedostatecznie dobrą partję?

— Wiele za dobrą, — odparła pokornie.

— Czemu wobec tego nie chce mnie rodzina twoja przyjąć do swego grona?

— Bo jesteś barbarzyńcą, — rzekła usprawiedliwiająco, poczem starając się załagodzić dopiero co powiedziane słowa, dodała pospiesznie: — Najpiękniejszy z barbarzyńców. Ja też jestem trochę barbarzyńca. Ja też mam oczy barbarzyńców i brzydkie włosy...

— Włosy najpiękniejsze w świecie — rzekł, głaszcząc je delikatnie. — Ale nie bierz sobie tego do serca, kochanie. Nie bądź taka smutna. Toć to nie twoja w tem wina, że twoi blizcy nie chcą mnie uznać.

— Oni nie tylko nie chcą ciebie uznać, — przerwała mu coraz bardziej zgnębiona, — oni nie chcą ciebie nawet widzieć!

— Ale mnie się zdaje, że mówiłaś....

— Ja tak tylko myśleć... Dlatego nie mówiłam tego bratu. Pewnie, że nie uznałby ciebie, gdyby widział tak wielkiego, silnego barbarzyńcę. Lepiej nic mu nie mówić.

— W takim razie, co on przypuszcza, że gdzie przepędzasz cały czas?

— On,? — Zmieniła się na chwilę. — Może — ciągnęła dalej — on też być poza domem. Może już ożenił się z jąką piekną kobietą barbarzyńcą. Nie wiem.

— Niezupełnie rozumiem, — rzekł Jack, — Ale nic to. Jeśli rozmowa o tem jest ci nieprzyjemna, co jest widoczne,że ci się nie podoba, to nie będę cię tem dłużej dręczył.

— Dziękuję, — rzekła z wdzięcznością.

W kilka dni po tej rozmowie zajęta była otwieraniem jego listów nadeszłych z Ameryki, gdy

w tem z jednej z kopert wypadła fotografja młodej Amerykanki. Yuki podniosła ją i przyglądała się jej z szeroko rozwartemi oczyma i drżącemi ustami. Po raz pierwszy załomotało w jej sercu uczucie zazdrości. A więc jedna z jego rodaczek kocha się w nim. Japonka bowiem oprócz ukochanemu, żadnemu innemu mężczyźnie nie posłałaby swej fotografji.

Pierwszą jej myślą było podrzeć obrazek; nie chciała, aby on go zobaczył. Kto wie, — myślała zazdrośnie — czy właścicielka tej fotografji nie odzyskała by go na nowo. Jednakże nie uczyniła tego, natomiast ukryła ją w rękawie kimona. Przez cały tydzień dręczyła się wyjmowaniem jej z ukrycia i przyglądaniem się tej obcej twarzy i porównywaniem ze sobą w odbiciu zwierciadła.

Wreszcie, smagana wyrzutami sumienia, a może raczej słabą, kobiecą ciekawością, kto to taki, ta jej współzawodniczka, przyznała się pokornie do dokonanej kradzieży.

Bawiła go szczerze ta cała sprawa, a w głębi serca odczuwał nieopisaną błogość na myśl, że Yuki była o niego zazdrosną; faktu tego nie umiała przed nim ukryć. Tak widoczny dowód miłości jej ku niemu rozpromienił go.

— Czy ona nie urocza? — pytał entuzjastycznie, wskazując na fotografję takim ruchem, jak gdyby ją chciał przytulić do siebie.

— Nie — odparła Yuki dumnie, — najbrzydsza dziewczyna na całym świecie. Takie ma głupie rzeczy na głowie, że nie można rozpoznać, czy to kapelusz, czy nie. Kwiaty, może ptaki, i tak oczy przewraca.

— To moja siostra, — rzekł Jack poważnie. — Przykro mi, że ci się nie podoba. Yuki moja. Ona by cię napewno bardzo pokochała.

W jednej chwili rozwiał się jej gniew.

— Ach proszę przebaczyć, — błagała. — Ja najgłupsza dziewczyna w całej Japonji. Ona jest poprostu zachwycająca, najpiękniejsza, najsłodsza na całym świecie. Zupełnie jak ty, mój kochany.

IX.

Urodziny Mikada.

Łagodne lato minęło. Jesień zdawała się pogłębiać na wsi smętek beznadziejny. Ponieważ powietrze było teraz chłodniejsze, urządzali sobie częstsze wycieczki do miasta. Przyglądali się wystawom chryzantemów, włóczyli się po parku Uyemo, po świątyni Sziba i po bazarach. Pewnego dnia pokazał jej dokument, który ją napełnił prawdziwym lękiem. Było to zaproszenie wystosowane w języku francuskim przez wysoko postawioną osobistość japońską, wzywającą go do wzięcia udziału w bardzo ważnych ceremonjach, mających się odbyć w dzień urodzin Mikada w hotelu Imperial. Uroczystość tę mają zaszczycić swoją obecnością „les princes et les princesses."

— Samo się przez się rozumie, że pójdziemy, — oznajmił. — Będzie to pewnem urozmaiceniem, zresztą pragnę cię zapoznać z moimi przyjaciółmi. Trzeba ci wiedzieć, że niektórzy z nich będą tam również.

Ona jednak nie chciała się na to zgodzić; najpierw podawała za powód to, że jest przecież

zwykłą nic nieznaczącą gejszą, której obecność na tak wielkiem i niezwykłem zebraniu byłaby zupełnie niestosowna.

Mąż jej nie godził się na to, przypominając, że ona nietylko nie jest nic nieznaczącą gejszą, ale przeciwnie jest osobistością bardzo czcigodną — jego żoną!

Ależ owszem, przyznała, że przez małżeństwo z nim zyskała na znaczeniu; mimo to jednak żyli w takiem odosobnieniu, że wszelkie dobre maniery towarzyskie, z któremi na ogół właściwie nigdy nie była w należytej zgodzie, zupełnie już zapomniała. Ona jest bardzo zwyczajną tylko dziewczyną, pochodzenia zupełnie skromnego, i zachowaniem swem zawstydziłaby nietylko siebie i jego, ale całe to wytworne towarzystwo. Nie wiedziałaby, jak się ma poruszać, gdzie oczy podziać i kiedy i jak mówić.

Lecz Jack z dobrze udanym egoizmem obstawał przy tem, że ma patrzeć tylko na niego i nie rozmawiać z nikim innym, jak tylko z nim. Inaczej popełniłby harakiri, albo joszi, albo jakiekolwiek inne samobójstwo na modłę japońską. A co dotyczy jej manjer towarzyskich, to są wręcz przepyszne, czarujące, doskonałe, akurat w sam raz.

— O, ale ty... — broniła się, — ty tego nie rozumieć, ty wielki barbarzyńca. Te dostojne potwory, książęta japońscy, cóżby oni pomyśleć o mnie?

— Pomyśleliby, że jesteś zwyczajnie godna uwielbienia; cóż bowiem mogliby innego pomyśleć, jeżeli nie będą ślepcami. Zresztą nie będzie

to żadna uroczystość japońska. Odbędzie się ona w hotelu europejskim i wezmą w niej udział osoby z różnych sfer. Nie uwierzysz, jak bardzo jestem szczęśliwy z tego zaproszenia. Czy wiesz, nie każdy może je otrzymać. To jest wielka rzecz.

— Ty taki wielki? — przerwała z dumą niekłamaną.

— Ależ nie, to naprawdę nie ma nic wspólnego z moją wielkością. Ale widzisz, mam w Ameryce przyjaciela pół-japończyka, i dzięki niemu cieszę się obecnie takiem wyróżnieniem.

— Ach, to ten pół-japończyk jest może jaki poważny mąż w Japonji?

— Owszem, spokrewniony jest z kilku najznamienitszymi rodami japońskimi, aczkolwiek osobiście jest bardzo ubogim młodzieńcem.

— To nie znaczy nic w Japonji,— rzuciła Yuki z nagłą niepohamowaną gwałtownością. — Pieniądze! Kto posiada pieniądze? Nie rody stare, kwiat kraju, a tylko kupcy i politykierzy.

Jack był zdumiony tym nagłym wybuchem i doskonałą znajomością panujących w kraju stosunków. Ale Yuki nie rozwodziła się dłużej na ten temat.

— A co z balem?

Owóż, nie pójdzie z nim. Dla miljona ważnych powodów, jakie mu wyłuszczyła, będzie musiał sam pójść. Przedewszystkiem wszystkie damy będą miały na sobie toalety paryskie, wstydem więc byłoby dla jego żony, gdyby się ukazała w krajowem kimono.

Jack zdumiał się znowu. Skądże mogła była wiedzieć, że przy tego rodzaju okolicznościach wszystkie kobiety, a także Japonki w europejskich występują toaletach?

Widocznie o takich sprawach wiedziała więcej, niż był przypuszczał. Z dniem każdym nabierał coraz większej pewności, że żona jego pochodzi z rodziny nieprzeciętnej. W przekonaniu tem utwierdziło go jeszcze bardziej wspomnienie starego dworku, w owem pięknem, wytwornem miasteczku, który bez wątpienia był jej domem rodzinnym. Kto ona? Kto właściwie stanowił jej rodzinę, i czemu żaden z niej nie odwiedził jej w całym tym czasie, odkąd się pobrali? Czemu ta tajemniczość, którą się otoczyła, odkąd ją poznał? I czemu teraz, gdy ani na chwilę już nie wątpił o szczerej jej miłości, nie umiał zdobyć zupełnego jej zaufania?

— Chciałbym raz wreszcie się dowiedzieć, kim ty jesteś, Yuki najdroższa, — odezwał się niespodzianie. — Wiedz o tem, że w ową historję o twej rodzinie wcale a wcale nie wierze. Wiem, że nie jesteś żadną gejszą; nie jesteś nią, prawda?

— Nie, — szepnęła z cicha.

— Powiedz mi więc, kto stanowi twoją rodzinę? Przecież mam prawo wiedzieć o tem.

Spojrzała na niego poważnie. Następnie rozpromieniły się jej oczy i recytować poczęła jedną ze swych tysiącznych a niedorzecznych opowieści.

— Moja rodzina? Kto ona? Moi dostojni przodkowie pochodzą z księżyca. Moich stu pradziadów walczyć i walczyć i walczyć, aż zdobyć

pół całej Japonji — zwalczyć Szoguna, Kazoku, zwalczyć jeden i drugi. Oni być wielkie samuraje i ucinać głowy wszystkim biednym mężom, których nie lubią. Tak wielki przelew krwi nie podobać się bogom. Oni ukarać moich przodków i zrobić ich wszystkich tak samo biednych, jak tych, których oni zabili. Potem dużo nędzy w nasz dom. Wszystka duma, wszystka zarozumiała chełpliwość zamarła na zawsze. Wszyscy obchodzą z płaczem jak na pogrzebie. Żaden szczęśliwy. Co oni robić, aby dojść na nowo do władzy i do bogactwa? Jeden przodek mieć bardzo liczną rodzinę do ochronienia od śmierci głodowej, a także jedną córkę piękną jak księżyc ich przodków. Ten przodek płakać więcej niż wszyscy inni, i płakać i płakać, aż stał się ślepy jak sowa w słońcu. I zasmucili się bogowie, jeden z nich bardziej niż wszyscy inni. On być także potomek od słońca. Owóż więc ten bóg słońca zstąpił na dół do Japonji, zrobił wielki hałas i ożenił się z tą najpiękniejszą córką od tego starego, ślepego przodka. Ten bóg słońca — mój ojciec. A ja? Ja być potomek półsłoneczny i półksiężycowy.

Ostatecznie przyrzekła towarzyszyć mu w każdym razie, aby przyjrzeć się ceremonji z namiotu amerykańskiego; w ostatniej jednak chwili złamała dane słowo. Oświadczyła krótko, że uroczystości takie widziała już kilka razy i że właściwie ma ich po same uszy.

Wobec tego zaklinał się najpierw, że bez niej nie ruszy się ani krokiem. Cała ta awantura bowiem bez jej towarzystwa straciłaby dla niego wszel-

ki urok. Sprawiła mu rzeczywiście wielki zawód. Ale Yuki przymilała się jak kociak, i prosiła i obsypywała go pieszczotami, tak że ani się spodział, jak znalazł się w drodze na zapowiedzianą uroczystość.

Na ulicach tłoczył się różnobarwny tłum ludu. Dżinrikisze uwijały się tam i z powrotem, a drobne istoty, żyjące w postaci małych mężczyzn, małych kobiet, maleńkich dzieci, i malusich psiaków i kotów, zderzały się co chwila z niezliczonemi temi dwukołowemi wehikułami. Wszędzie powiewały różnobarwne flagi i chorągwie, miasto przybrało szatę odświetną.

Jack wyskoczył z dżinrikiszy i torując sobie drogę poprzez tłum, znalazł się wreszcie na placu musztry. Niebawem odszukał przeznaczony sobie namiot amerykański, gdzie otoczony kilku dawniejszemi znajomymi z podróży, rozpoczął odrazu wesołą gawędę.

A gdy nieco później ujrzał na rozległem polu formujące się kolumny piechoty, jazdy i artylerji, miał wrażenie, że znalazł się nagle poza granicami Japonji, na nowoczesnym Zachodzie, do którego czuł się mimo wszystko duchowo przynależnym.

W wspaniałym tym rozwijającym się barwnym szyku armji cesarskiej nie było nic, coby przypominało Daleki Wschód. Również wszelkich cech orjentalnych pozbawiona była hałaśliwa niespokojna gromada cudzoziemców, z których jeden drugiego starał się przewyższyć pod zwględem znaczenia i pierwszeństwa. Japońskiemi były jedynie

niebo i lekkie wietrzyki i zarysowujące się w oddali faliste linje gór i lasów i powiewające wszędzie bandery o barwach narodowych. Jack olśniony był otaczającym go blaskiem i przepychem, oszołomiony panującym dokoła rozgwarem.

Siedm tysięcy ludzi zgromadziło się na placu rewji. Mikado, otoczony generałami, gwardją przyboczną, oficerami odynansowymi i chorążymi, odbył przegląd wojsk; zaczem opuścił plac wśród chrypliwych okrzyków entuzjastycznych, przygłuszających nawet hymn narodowy, grany równocześnie przez wszystkie orkiestry.

Po ukończonej paradzie Jack nie pospieszył natychmiast do domu, jak to pierwotnie był zamierzał. Kilku znajomych, którzy odbyli z nim podróż do Japonji wspólnie na jednym parowcu, pociągnęło go z triumfem do hotelu, skąd wieczorem udali się wszyscy na bal dworski.

Późno już było, gdy powrócił do Yuki. Słabe światełko oświetlało zasziki; Jack z niepokojem zapytywał siebie, czy aby tylko będzie go jeszcze oczekiwała. Wszedłszy do pokoju, zrazu jej nie spostrzegł, gdyż dogorywało już światło andony*) i nie śmiało zakradał się do pokoju szary, blady świt budzącego się dnia. Dojrzał ją wówczas dopiero, gdy przeszedł się po pokoju. Sen zaskoczył ją na podłodze; leżała na wznak z rękoma zarzuconemi pod głową. Uderzyła go jej młodość, zdawała się być dzieckiem, co to zabawą znużone, nagle wśród zabawy zasnęło. Obok niej stał minjaturowy japoński stoliczek, zaledwie

*) Andona — lampa starojapońska.

na stopę wysoki, a na nim przygotowana dla niego, a dawno już wystygła skromna wieczerza. Z drugiej strony leżał porzucony jej mały tamburyn i samisena. Próbowała widocznie spędzić wieczór przy muzyce i czarownym swym śpiewie, który tak bardzo był umiłował.

Przeglądał się jej długą chwilę, i — przygniatające uczucie zupełnego jej osamotnienia zakradło się znienacka do jego serca. Dlaczego nie usiłował dotąd nigdy usunąć onej obcości szczególnej, która dzieliła ich niby przepaść niezgłębiona, onej ustawicznie smagającej pewności, że ona nie należy do niego bezwzględnie, że w domu jego przebywa tylko jako gość, jako ptaszyna mała, dzika, którą on, biały barbarzyńca, w sposób osobliwszy schwytał i uwięził — uwięził, mimo że przyszła do niego z prośbą o pomoc? Było to właśnie tak samo, jak ongi, gdy chłopcem będąc, przy swem oknie schwytał czyżyka. Przypomniał sobie dokładnie, jak go przed napastnikiem kotem obronił, jak następnie zamknął go w klatce i jak potem czyżyk za swą wolnością tęsknił.

Myśl, że kiedyś jeszcze mógłby Yuki utracić, przejmowała go straszną trwogą, odbierała przytomność. Ukląkł przy niej i wziął ją na ręce tak tkliwie i delikatnie, jak gdyby matka najtroskliwsza, zaczem zaniósł ją na górę do sypialni.

Nazajutrz wypytywała go z widocznym niepokojem o szczegóły uroczystości dworskiej. Czy było na balu wiele dam, które były od niej ładniejsze? Czy bardzo się niemi zajmował i wiele z niemi rozmawiał, i czy po tak wesołej zabawie nie

będzie mu zbyt nudno w domu? Czy wogóle zechce teraz tak żyć, jak dotychczas? Czemu powrócił do niej, przecież ona taka biedna, taka mała, taki nic nie znaczący pyłek?

Na co on jej odpowiedział, że nigdy jeszcze w życiu za niczem tak bardzo nie tęsknił, jak właśnie za nią nocy minionej. Że cały dzień wydał mu się nieskończenie długi, że z nienawiścią wręcz odnosił się do całej tej wrzawy uroczystościowej i pompy dworskiej i rozpierającej się wszędzie wesołości. A to wszystko dla tego, że nie miał przy swym boku jej, Yuki, gdyż ona jedna tylko czarem swej obecności mogłaby sprawić cud, dzięki któremu nie dostrzegłby wszystkiej tej lśniącej pospolitości. Że czynił wszystko, aby umknąć coprędzej, że popędzał kumurayę*), ponieważ zdawał mu się zbyt powolnym, i że spokój i szczęście uzyskał dopiero wtedy, gdy przestąpił próg swego mieszkania i ją do piersi przytulił.

Lecz mimo tego zapewnienia, nie zajaśniały jej oczy, nie pierzchnęła z nich mgła poważnej zadumy.

— Wczoraj wieczorem, — odezwała się, — pękła mi bransoletka, moja mała bransoleta rodzinna. To być zły znak.

— Cóż w tem złego? Kupię ci tuzin nowych i ładniejszych.

— Miljon tuzinów nie zastąpić tej jednej małej, — odparła głosem smutnym. — Zły znak. Może to ostrzeżenie od bogów.

---

*) Kumuraya — biegacz ciągnący dżinrikiszę, wózek dwukolny.

Przed czem bogowie mieliby ostrzegać, tego powiedzieć nie umiała, ale słyszała niegdyś, że znak tego rodzaju zapowiada zazwyczaj zmartwienie w miłości. Może... może opuści ją wkrótce, i jako ów duch młodego rybaka Uraszimy, który baśnianą swoją narzeczoną opuścił, aby do swoich powrócić, zniknie z jej życia i powróci do kraju, z którego przybył.

X.

Zły znak.

Było to już w drugiej połowie listopada. Ogrody, postradawszy swą krasę jesienną, przybrały się w barwy ciemniejsze, zlekka szronem pokryte. Odleciały ptaki, pozostawiając za sobą w powietrzu głuchą ciszę. Niebawem wiatr północny wyzionie ostatnie swe przeciągłe Amen ponad lasami opuszczonemi, tam, gdzie podczas dni złotych i nocy srebrnych rozlegał się na cześć Stwórcy ptaków rozgwar śpiewny.

Ciche piękno wieczoru jesiennego miało w sobie coś 'z przejmującej do głębi żałości. Mimo wspaniałego zachodu słońca, którego ślady błąkały się jeszcze gdzieś na nieboskłonie, rosił deszczyk drobny, — i zdało się że to bogowie nad skonem jesieni łzy ronią beznadziejne — najsmutniejsze łzy świata.

Front małego domku, wznoszącego się na pagórku, zwrócony był na zachód; mokre dachy i gonty lśniły się i migotały w promieniach zamierającego słońca. Yuki rozsunęła szodżi swego pokoju i zamyślony słała wzrok w stronę miasta To-

kio, które w ciszy jesieni tonąc w swych rozlicznych niezwykłych światłach i barwach, podobne było do połyskującego klejnotu. Bezszelestnie przemknęła się na balkon, zaczem krokiem lekkim podążyła do ogródka. Noc tymczasem rozpostarła nad światem czarny swój płaszcz. Po pewnym czasie rozległ się głos Jacka:

— Yuki! Yuki!

Wprowadził ją z powrotem do pokoju i zamknął za sobą szodżi.

— Znowu płakałaś! — powiedział tonem strofującym i zwrócił twarz jej do światła.

— To deszcz padać na moją twarz, mój władco, — odparła głosem ledwo dosłyszalnym.

— Ale kochanie moje nie ma wychodzić na deszcz, zapamiętaj to sobie raz na zawsze, jesteś przecież cała przemoczona.

— Taki mały, delikatny deszcz nie szkodzi nic. Ja szukać naszego biednego, małego słowiczka. Niema go! Może umarł! Wszystko umrzeć — kwiaty, ptaki, być może — ja też!

Jack z cichem westchnieniem położył dłoń na jej ustach.

— Nie mów tak!

Służąca przyniosła na tacy lakowej wieczerzę, lecz zanim zdążyła ustawić ją na stoliku, już Yuki była przy niej i odbierając z rąk dziewczyny tacę, szczebiotała:

— Idź, idź, szlachetna dziewczyno. Ja sama usługiwać mojemu władcy.

Na sposób gejszy uklękła u stóp jego, i trzymając małą tacę, czekała na niego. Lecz Jack

wziął posiłek z rąk jej, odstawił opodal i milcząco a serdecznie ujął obie jej rączyny.

— Co ciebie niepokoi, Yuki? Powiedz mi, musisz powiedzieć. Ty ukrywasz coś przedemną. Gdzież się podziała moja mała, wesoła, przekorna ptaszyna? Trudno mi żyć bez niej.

— Czy ty także zgubić małą ptaszynę — badała głosem cichym, — jak ja mój mały słowik?

— Ja zgubiłem — ja czuję, że ciebie tracę! — odparł opanowany nagłym wybuchem strachu. — Nie rozumiem.. od kilku tygodni nie rozumiem, nie poznaję ciebie. Co się z tobą dzieje? Nie słyszę ani twego śmiechu słodkiego, ani śpiewu. Od niejakiegoś czasu jesteś wciąż smutna, zamyślona. Twoje oczy doprowadzają mnie do rozpaczy. Powiedz... czy to jest... czy chcesz... czy potrzebujesz więcej pieniędzy, Yuki? Wiesz przecie, że dam ci wszystko, czego tylko zapragniesz.

Zerwała się oburzona.

— Nie, nie, nie! — zawołała. — Nigdy w życiu, mój władco!

— A więc z jakiego powodu...

— Ach proszę, proszę nie pytać!

— Ale czemu..

— Więc słuchać mnie. Ja już oddawna nie być ani trochę tą gejszą, którą ty poślubić. Ja się bardzo zmienić. To, co ty teraz widzisz, jest kobieta, ach stuletnia kobieta — stara — mądra — smutna — ja właśnie bardzo się zmienić!

— Istotnie, bardzo się zmieniłaś. Jesteś moją Ondyną, a ja — nie mogę odnaleźć duszy twojej!

Pewnego popołudnia, gdy świszczący ostry wicher przeszkodził im w odbyciu zwykłej przechadzki do lasu lub miasta, Jack udał się na spoczynek. We śnie z pełną wyrazistością odczuwał obecność jej serdeczną i ukojną, ale do szczęścia tego przyplatało się przeczucie jakiegoś nieszczęścia i obawa przed nieokreśloną jakąś zmorą, jaka jej zagrażała. Zbudził się i ujrzał ją obok siebie stojącą, z twarzą pobladłą, do której przywarł wyraz niemej rozpaczy.

— Co się stało? — zerwał się przerażony. — Jakże smutne są twoje oczy! Wyglądasz jak gdybyś rozmyślała nad czemś okropnem!

Osunęła się do nóg jego, i mimo protestu jego uklękła przed nim i objęła jego kolana, łkając jednocześnie w nadmiarze udręki wewnętrznej.

— Ależ Yuki najmilsza, Yuki, nie płacz ptaszyno ty moja. Nie mogę patrzeć na twoje łzy. Co się stało, Yuki, powiedz, najdroższa?

— O, tylko na małą chwilkę, na bardzo małą chwilkę miej cierpliwość! — odparła wreszcie.

— Małą chwilkę? Jak to rozumiesz?

Usiłowała odzyskać swoją dawną wesołość, ale śmiech jej brzmiał skargą żałosną,

— Ja tylko okruszynę płakać. Ja... — zachłysnęła się, — ja płakać z powodu małej, niemądrej bransolety... zupełnie zgnieciona i połamana.

— To wszystko?

— To bardzo zły znak! Bogowie chcą nas może rozłączyć.

— Nas rozłączyć? — Sercem jego zatargała wzmagająca się nieufność, — Co mogłoby im na tem zależeć? Jeżeli myślisz o przeznaczeniu, to ono jedynie od nas zależy, jedynie od nas. Bogowie... ach to niedorzeczność.

— Bogowie widzą wszystko.

— Jak wszystko?

— Nasze serca, — wypowiedziała szeptem.

— I cóż mogliby tam znaleść, co cię takim niepokojem napełnia? — zapytał nieco zniecierpliwiony. Słowa jej bowiem tłumaczył sobie brakiem zaufania do niego, i to go bolało.

— Bransoleta... — rozpoczęła — złamała się, więc i miłość musi się złamać i umrzeć!

Od dnia tego smutek jej się pogłębiał. Lecz w Jacku zbudzona raz nieufność, żyła i rozrastała się. Boleść jej nietylko nie budziła w nim współczucia, ale przeciwnie, była powodem ciągłego rozdrażnienia. Podejrzenie, że w jakiś nieznany mu dotąd sposób wyprowadzano go w pole, wbijajo się w jego serce wolno jak zimna stal. A gdy któregoś dnia całą jej garderobę znalazł spakowaną starannie w walizce, jak gdyby przygotowaną do podróży, pojął nagle w całej pełni znaczenie i rozmiary jej oszustwa. Gdy dawniej opuszczała go na kilka dni, nie zabierała ze sobą nigdy swych rzeczy. Domyślał się, że obecnie ma zamiar opuścić go na zawsze. Najwidoczniej zużyła go do dopięcia jakiegoś celu, a dopiąwszy swego, rzucała go jako narzędzie bezużyteczne.

Gniew jego nie miał granic. Nie byłby nigdy przypuszczał, że posiada zdolność do tak potężnego wybuchu wściekłości. Niby warjat rzucił się na złożone szaty jedwabne i gnany szałem nienawiści, tratował je, rwał w strzępy i rozrzucał po całym pokoju.

— Co to ma znaczyć!? — krzyknął, wodząc dokoła siebie wzrokiem błędnem.

Milczała. Nie zdawała sobie nawet trudu, aby go wyszydzić lub wyśmiać, także i nie płakała; zdała się być zaskoczoną tem co zaszło. A Jack folgując w dalszem ciągu swej wściekłości, obrucił ją słowami, które i po latach gryzły jego sumienie.

— Czy dane słowo nie posiada u ciebie zgoła żadnego znaczenia... żadnego... słowo... ba, sama nawet przysięga? Czy jak papuga tylko powtarzałaś za mną bezmyślnie słowa przysięgi, że nie opuścisz mnie aż... — głos jego załamał się — aż do śmierci?

Milczała znowu, a to milczenie doprowadzało go do szaleństwa, popędzając do nowych gorzkich a obrażających oskarżeń.

— Co było twoim zamiarem, tego oczywiście nie wiem, ale nie możesz zaprzeczyć, że zarzuciłaś na mnie sieć wszystkich sztuczek i podstępów, w których posiadasz zręczność mistrzowską, aby tylko zdobyć moje zaufanie. I ja... ja... błazen ślepy i oszukany... Ach, Yuki, to nie może być, to straszliwa jakaś omyłka. Wyznaj szczerze.. Czy ty nie widzisz... czy nie rozumiesz, jak bardzo ja cierpię?

Wysilała się, aby się skupić i dojść do równowagi i spokoju, ale słowa jej brzmiały przeraźliwie konwencjonalnie. Prosiła go o przebaczenie za ten niepokój i hałas, jaki wniosła w jego dom.

— Czemu mi nie odpowiadasz, — krzyknął — jaki był twój zamiar? Chciałaś mnie opuścić? Odpowiedz!

— Byłoby lepiej tak!... — odparła głosem zamierającym, pełnym jakiegoś jąkania się i zgrzytu.

— A więc to było twoim zamiarem! — Był jakby nieprzytomny, słowom jej nie dawał wiary.

XI.

Słowik.

Jeżeli miłość trwa jeszcze, gdy zaufanie zanikło — wtedy pokój jest gościem nieznanym. Milczenie, które w swej głębokiej beznadziejności działało zawstydzająco, milczenie takie zapanowało pomiędzy obojgiem. Yuki chudła z dniem każdym coraz bardziej, a głęboka zaduma nie schodziła jej z czoła. Była przygnębiona. Z całego jej zachowania się przebijała na każdym kroku pokora i pojednawczość, w czem znów Jack w swej obrażającej podejrzliwości dopatrywał się skruchy i przyznania się do winy. Gdybyż przynajmniej bodaj odrobinę chciała udawać, gdyby choć nieco zechciała przywdziać na siebie maskę swej dawnej płochości, i pierwsza uczyniła próbę pozyskania jego przebaczenia przy pomocy swych dawnych

śmiałych podstępów! W niepamięć rzuciłby wszystko, rad z posiadania jakiegobądź pozoru, aby móc odnowić dawną serdeczną zażyłość. Ale Yuki trzymała się zdala, nie uczyniła nic, co mogłoby ich zbliżyć na nowo.

Yuki doznawała teraz uczucia jak gdyby lęku na widok swego męża, i z daleka już ustępowała mu z drogi, aby nie pobudzić czemkolwiek jego gniewu. Trzymała się zdala od niego, a rzadko kiedy tylko czyniła konwulsyjne, nieludzkie wysiłki celem wywołania ułudy dawnej swej wesołości; lecz tego rodzaju próbom towarzyszył zawsze wybuch rzewnego płaczu, który następował zazwyczaj, gdy tylko zamknęła za sobą szodżi swego pokoju, gdy pozostała sama ze swemi myślami.

Tymczasem Jack śledził swoją małą żonę wzrokiem surowego dozorcy więziennego. Był przekonany, że Yuki czeka tylko na korzystną sposobność, aby go opuścić, czemu jednak postanowił stanowczo przeszkodzić. Serce jego nasyciła gorycz, która spotęgowała się niemal do uczucia nienawiści. A jednak mimo wszystko czuł, że gdzieś na dnie żarzy się w nim iskra tkliwości i pożądania, która przy pierwszej sposobności mogłaby się rozpłomienić do rozmiarów uczucia wszechpotężnej miłości. Cierpiał bardzo, widząc jej ciągłe zaleknienie, i nieraz zrozpaczony zadawał sobie pytanie, czy też naprawdę nie zasługiwała na więcej serca, czy nie okazał się dla niej zbyt surowym i brutalnym. Wówczas jednak w myśli jego wyrastało

nieszczęsne wspomnienie faktu, iż nosiła się z zamiarem ucieczki, i żagiew gniewu wybuchała z siłą zdwojoną.

Rozmowy na ten temat unikali oboje, ale dlatego właśnie sprawa ta stawała się tem drażliwsza i tym większym przygniatała ich ciężarem. Obawiał się, że wyjaśnienie z jej strony będzie aktem zmyślonego uniewinnienia się, aby go przebłagać i pozyskać przyzwolenie jego na krok ostateczny, do którego, jak przeczuwał instynktownie, Yuki zmierzała. Ona natomiast pomijała ten temat kurczowo z obawy przed jego gniewem, który, jak w skrytości przed sobą przyznawała, był zupełnie uzasadniony.

Żyli więc z sobą w stosunkach naprężonych. A jak gdyby w celu spotęgowania ogromu ich smutku, nastała pora deszczowa, która przykuła ich do domu. Nadomiar Yuki żaliła się i opłakiwała stratę swego faworyta, słowiczka, który gniazdko swe usłał był wśród bambusów ich ogrodu. Jack stał się teraz odludkiem i niecierpliwym i złośliwym, jak to tylko możliwem jest u mężczyzny, duszącego się wśród tak męczących warunków. Z tem wszystkiem nieustannie żarła go tęsknota za onem dobrem, harmonijnem porozumieniem, które ongi pomiędzy nimi panowało i tyle słonecznego zsyłało na nich szczęścia i wesela.

Pewnego wieczoru po wieczerzy, na której zaciążyła większa niż kiedykolwiek chmura smutku i oschłości, Jack udał się na werandę, próbując przy wonnem uspokoić się cygarze. Pra-

gnął przybycia swojej żony. W tem wśród głębokiej ciszy rozdzwonił się przeciągły, drżący głos najwyższego zachwytu i upojenia, przez chwilę krótką zawodził trele, aby niebawem do najśmielszych, najbardziej szalonych przejść melodji i w ludzkiem niemal przebrzmieć przejmującem łkaniu... Słowik powrócił!

Zerwał się z miejsca, drżąc na całem ciele; wsparł się o poręcz werandy i wlepił oczy w ciemnię mroku wieczornego. A potem? Z cieniów ogrodu wysunęła się Yuki; oświetlona poświatą księżycową, spojrzała mu w oczy nieśmiało a błagalnie, i odezwała się głosem drżącym, od tłumionego szlochu niemal zdławionym:

— Ja chcieć się tobie przypodobać, mój władco!

— Słowik! — szepnął do głębi wzruszony.

— Słyszałaś śpiew jego? Powrócił!...

— Nie, mój władco!... To ja: Ja być właśnie maleńkiem echem jego!

Yuki nauczyła się śpiewu słowika!

Z okrzykiem niewysłowionego uczucia przygarnął ją w swoje ramiona. Na chwilę przynajmniej zniknął wszystek ból, rozgoryczenie i napięcie ostatnich tygodni, dając upust wybuchowi długo tłumionego uczucia miłości. Na chwilę przynajmniej nastało błogie zapomnienie.

I gdy ją tak do piersi przyciskał, kołysała go zrazu świadomość tego, że Yuki kocha go miłością dawną, nie wystygłą, że objęła go z oddaniem się dawnem, zupełnem, bez zastrzeżeń. Czuł jej ręce na swych ramionach i wyczuwał dokładnie, jak drżały i dygotały.

Próbowała uwolnić się z jego objęć! Usiłowała się z nich wyrwać! Nagle uwolnił ją i z przyspieszonym świszczącym oddechem stanął obok niej; z rękoma skrzyżowanemi na piersi oczekiwał..., żył przez okamgnienie nadzieją, że Yuki teraz odezwie się lub uczyni cokolwiek, co utwierdzi ten długo oczekiwany akt zbliżenia się ponownego po tak długiej rozłące.

Ale Yuki nie ruszyła się. Stała przed nim z główką opuszczoną; po chwili dopiero uniosła swoje błękitne oczy, trwożliwie a prosząco szukając ócz jego. Próbowała przemówić, lecz miasto tego wyjąkała kilka zaledwie słów bez związku, zaczem rzewnie łkając, wolnym krokiem podeszła do szodżi. Jack pozostał sam.

W dwa dni później doszła ich wiadomość, że Taro Burton przybył do Tokio. Uradowany Jack wybiegł coprędzej do miasta, zapowiedziawszy Yuki krótko, że idzie powitać jednego z dawnych swych przyjaciół, z którym powróci do domu wieczorem na wieczerzę.

XII.

Taro Burton.

Być może, ze Jack teraz dopiero się ocknął i przejrzał po raz pierwszy, iż właściwie miesiące całe przeżył dosłownie w gorączkowym świecie uniesień i marzeń ułudnych, teraz, gdy ujrzał znowu swego serdecznego druha — Taro Burtona — tego w niczem niezmienionego dawnego kochanego a poważnego Tara! Jack powitał

go w swój dawny koleżeński sposób i z niekłamaną radością ściskał mu dłonie.

Minione miesiące upojeń i niepokojów zniknęły w tej chwili z jego pamięci; był znowu owym dawnym, wesołym, niefrasobliwie z dnia na dzień żyjącym młodym Amerykaninem.

Taro, jak teraz dopiero przyjacielowi swemu wyznał otwarcie, zatrzymał się tak długo w Ameryce jedynie z winy swej rodziny, która z niewyjaśnionych przyczyn przed miesiącem zaledwie dostarczyła mu pieniędzy na powrót. Opowiedział następnie kilka drobnych przygód osobistych, nieco o wspólnych znajomych i kolegach, a wreszcie począł wypytywać Jacka. Czemu nie odwiedził jego rodziny, jak to był przyrzekł? Jak dalece poznał dotychczas Japonję? Czemu tak mało do niego pisywał?

Jack Bigelow zaśmiał się krótko.

Wiedz, kochany, że tu, w Japonji, byłem głuchy i ślepy na wszystko! Nic mnie nie interesowało — cały świat był mi obojętny — z wyjątkiem jednej tylko rzeczy, przemiłej i zachwycającej.

— Na prawdę? A tą rzeczą jest...?

— Moja żona.

— Twoja żona! — Taro przystanął, przechodzili właśnie jedną z głównych ulic Tokio.

— Nie inaczej, — zaśmiał się Jack. Pierzchnęła teraz z serca jego wszelka złość na Yuki, przebaczył jej wszystko.

— Tak więc uczyniłeś to mimo wszelkie prośby i przyrzeczenia? — odpowiedział Taro z smutną, gorzką wymówką. Zatem przyjaciel jego nie wie-

le się różnił od wszystkich tych cudzoziemców, którzy w Japonji żenią się po to tylko, aby swoje żony po pewnym czasie porzucić.

— Co uczyniłem?

— Ożeniłeś się z japonką!

— Ożeniłem się z japonką! Ależ człowieku, ona sama przyszła do mnie. Istna czarodziejka, a może sama bogini słońca. Cały ten czas znajdowałem się pod jej urokiem, wręcz mnie zahypnotyzowała.

— I wciąż jeszcze znajdujesz się pod jej urokiem?

— Dziś zdołałem się już nieco otrząsnąć, — odparł Jack poważnie

— A niebawem — zauważył Taro, — otrząśniesz się i wytrzyźwiejesz zupełnie, a wtedy przyjdzie na nią kolej wytrzeźwienia.

— Nie! — powiedział Jack szorstko z pewną goryczą. — Ona jest wogóle bez serca. Ona udaje tylko, że je posiada — i to wszystko.

— Co przez to rozumiesz?

— Zwyczajnie, że oboje udawaliśmy, graliśmy komedję — ja w stosunku do siebie samego, ona w stosunku do mnie. Ona starając się wzniecić we mnie wiarę w jej szczerość; ja znów usiłując siebie oszukać, że jej wierzę. A ostatecznie, podczas gdy zaufałem jej najwięcej, odkryłem przypadkowo, że poczyniła przygotowania, aby mnie opuścić na zawsze.

— Widocznie posiada więcej rozumu, niż wszystkie jej towarzyszki, — odrzekł Taro. — Głowa jej zdaje się panować nad sercem.

— O, najzupełniej, — przywtórzył Jack, myśląc o pieniądzach, które tak często dawniej wyłudzała.

— A ty? — zwrócił się do niego Taro. — przeszedłeś już nad całą sprawą do porządku?

— Najzupełniej! Zresztą rozumiesz, nie miałem bynajmniej zamiaru wiązać się na całe życie, — zaśmiał się Jack ze sztuczną wesołością, którą Taro, z natury łatwowierny, za dobrą wziął monetę.

Taro Burton posiadał w wysokim stopniu wyrobione pojęcia etyczne; odpowiedź więc Jacka nie mogła mu się podobać, — owszem, zabolała go, przyniosła mu bowiem nagle a głębokie rozczarowanie co do wartości jego przyjaciela. Zmienił temat rozmowy, opowiadając o sobie i swej rodzinie. Pragnął dostać się coprędzej do domu, do swoich, dla tego tylko jeden dzień zabawi w Tokio. Przyjechał wcześniej, aniżeli się go spodziewali; tęsknił za widokiem swej małej siostry i matki — te dwie istoty stanowią dla niego skarb najdroższy, zastępują mu wszystko, co posiada na świecie.

Jack zmartwił się na chwilę, gdyż spodziewał się, że przyjaciel zabawi u niego przynajmniej kilka dni. Ostatecznie udało mu się nakłonić Burtona do pójścia z nim na wieczerzę, gdzie miał poznać jego boginię słońca.

Uroczyście wprowodzono Tara do sympatycznego zasziki, którego urządzenie Jack uważał za prawdziwie japońskie, gdy tymczasem istotnie było ono zupełnie zamerykanizowane, z wyjątkiem jedynie wnęk, mat i waz. Jack pobiegł na górę,

aby swoją małą żonę uwiadomić o przybyciu przyjaciela.

Yuki była właśnie zajęta przebieraniem się w najpiękniejsze swe szaty. Wyszczotkowała swe włosy aż do połysku. Od dawna już zabronił jej surowo używania oliwy w celu spowodowania ciemniejszej barwy i większej miękkości włosu; stąd włosy jej miały obecnie barwę ciemno-brązowego laku, oraz wysuszone, w lokach kokieteryjnych wiły się dokoła uszu i pysznego karku. Nie barwiła też ni ust ni twarzy, gdyż i tego zabronił jej Jack kategorycznie. Podobna była teraz do bogini słońca, wyobrażonej na obrazie którejkolwiek odwiecznej pagody, oczy jej jaśniały i jarzyły się z podniecenia niby dwa ognie, usta zaróżowione, niby rubiny najpiękniejsze. „Posiada urok niezwyciężony“, — pomyślał Jack, przyglądając się jej uważnie. Wreszcie, broniącą się i zawstydzoną, porwał na ramiona i zaniósł na dół. Tak wbiegli do pokoju, gdzie dopiero udało się jej wyślizgnąć z jego objęć.

Taro Burton stał wyprostowany przy oknie tyłem zwrócony do światła. Mimo hulaszczej wesołości swego przyjaciela, był bardzo poważny. Gdy zaś Jack ustawił swoją żonę na podłodze, zbliżył się do niej o krok i złożył ukłon ceremonjalny na sposób japoński.

Yuki wyprostowała się, doprowadziła nieco do ładu swoje kimono, poczem skłoniła głowę.

— Yuki, oto mój przyjaciel, Taro Burton.

Podniosła głowę i nagle skurczyła się, spojrzenia jej i Tara skrzyżowały się szaloną błyska-

wicą i oboje cofnęli się równocześnie, jak gdyby odrzuceni siłą jakąś niewidzialną, gdy w oczach ich malował się wyraz najpotworniejszego przerażenia.

Twarz Tara przybrała barwę śmiertelną, stał wyprężony, nieruchomy i milczący, niby posąg z głazu wykuty. Yuki osunęła się na kolana, złamana i drżąca, a szloch okropny rwał jej piersi.

Jack oniemiały całem tem zajściem, spoglądał na nią, to na Burtona, to znowu na nią, wijącą się u ich stóp. Na kolanach przyczołgała się do stóp Tara, lecz ten, budząc się z pierwszego odrętwienia, odsunął się od niej z widoczną odrazą. W kilku tych chwilach, zda się, postarzał się o lata całe.

Silił się, aby swe mgłą zaszłe oczy oderwać od jej wzroku, ale napróżno; oczy ich sprzęgły się jakąś siłą nadludzką, jak gdyby w śnie hypnotycznym.

Wreszcie chwilę okropnego, niesamowitego milczenia, rozdarł głos Jacka, ochrypły trwogą wewnętrzną, niepojętą:

— Burton, co się stało?

Teraz Yuki zerwała się z podłogi i łkając, rzuciła się na Tara, a z ust jej rwały się jakieś błagalne słowa wymawiane w języku japońskim; lecz postać jego pozostała nieporuszona. Jack oderwał ją niemal gwałtem od swego przyjaciela.

— Burton... kolego... przyjacielu — co znaczy to wszystko?

Burton odtrącił jego dłoń ruchem szorstkim, jakby uderzeniem.

— To moja siostra!... O Boże!...

Jack miał w tej chwili uczucie, jakby w nim wszelkie życie zamarło. Bezwiednie uchwycił krzesło, osuwając się na nie na pół przytomny.

Jak gdyby chcąc przerwać okropną tę ciszę, wybuchła Yuki nagłym śmiechem, ale był to śmiech, raczej krzyk, obłędny, opętańczy, przerażający. Jack zasłonił twarz rękoma. Burton zaś uczynił ruch, jak gdyby zamierzał ją uderzyć. Lecz ona nie cofnęła się a przeciwnie, pochyliła się ku niemu. A śmiech jej, który był i głośny i zgrzytów pełen, stał się teraz chrypliwy, a niebawem w szlochu zamarł wstrząsającym.

Błagalnie wyciągnęła przed siebie swe małe, mówiące ręce i szepnęła cicho: — „Sayonara!“ — A potem nastała w pokoju cisza przejmująca, i tylko echo głuche zdało się powtarzać „Sayonara!“, „Sayonara!“ i raz jeszcze „Sayonara!“ — a znaczyło to nietylko „żegnaj mi“, lecz równocześnie wyrażało rezygnację serca umęczonego: „Jeżeli tak być musi!“...

Jack i Taro pozostali sami, żaden z nich ani głosem nie przerwał tragicznego smutku straszliwego milczenia. Dopiero wejście dziewczyny zbudziło ich na nowo do życia. Zmierzch zapadł, więc służąca przyniosła do w mroku wieczornym tonącego pokoju rozświetloną andonę.

Jack podniósł się powoli. Lęk i przerażenie nie odstąpiły go jeszcze, mimo to podszedł do swego przyjaciela i spojrzał w twarz jego smutną, spopielałą.

— Na Boga! Taro, przebacz mi! — odezwał się głosem bezdźwięcznym. — Jestem człowiekiem honoru, naprawię wszystko. Ona jest moją żoną i jest mi istotą najdroższą w świecie. Jeżeli sobie życzysz, możemy wziąć jeszcze raz ślub i przysięgam ci, że kochać ją będę i opiekował się z tą samą miłością i czcią, jak każdą inną, którą obrałbym sobie za dozgonną towarzyszkę życia.

— Tak, uczynić to musisz, — odezwać się Burton roztargniony, w połowie tylko rozumiejąc to, co mówił do niego Jack. — Ale gdzież ona się podziała?

— Gdzież ona się podziała? — powtórzył Jack machinalnie.

Nieobecności jej wcale przedtem nie zauważyli. Lęk przed możliwą jej utratą przeraził Tara i opanował go w zupełności. Jack zaś szalał.

— Musimy ją natychmiast odszukać!

Nawoływali ją po imieniu i szukali po całym domu i ogrodzie, przy świetle latarek przetrząsnęli wszystkie zarośla, zbadali wszelkie zakamarki małego ogrodu. Ale tylko wiatry jesienne wzdychały ciężko wśród drzew, myląc i zwodząc szukających.

— Być może, że udała się do domu, — odezwał się wreszcie Jack.

— Musimy pojechać tam natychmiast, — zadecydował Taro.

— To się jeszcze wszystko naprawi, Taro. Zaufaj mi, przecież znasz mnie nie od dzisiaj.

Taro wahał się, poczem zwrócił na niego palące swe oczy, w kórych w miejsce zwykłej do-

broci i łagodności zawitał na chwilę wyraz nieubłaganego, straszliwego wyroku.

— Inaczej, — rozpoczął, lecz zaciął się — a po chwili ciągnął dalej głosem jak stal zimnym a twardym: — Chciałem powiedzieć: inaczej zabiłbym ciebie!

XIII.

Gdy ofiara siostry wychodzi na jaw...

Słoneczne oblicze Jacka pokryła bladość trupia. Gorzała w nim trwoga i rozpacz. Czuł w sobie taki niepokój, że chwili niemógł był wysiedzieć spokojnie; raz wraz zrywał się z miejsca i przebiegał wagon, aby znowu powrócić i ostrze oczu swoich, w których wyrażał się cały bezmiar bólu serdecznego, wbijać w towarzysza, milcząco i okrutnie. Taro natomiast zdawał się być spokojniejszy, lecz Jack wiedział aż nadto dobrze, że pod tą maską spokoju drzemie płomień, który za lada podmuchem wybuchnąć może mściwem szaleństwem.

Wreszcie dotarli do celu swej podróży. Znowu ono małe miasteczko; tym razem jednak Jack nie był sam. Ani jedna gwiazdka na niebie, ani księżyc nie oświetlał im drogi; mżył deszczyk drobny z śniegiem zmieszany. W milczeniu opuścili wagon, w milczeniu też brnęli wśród błota ulic. Niebawem zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy bramy ogrodowej. Byli w ogrodzie, przed nimi majaczyły ponure zarysy starożytnego pałacu z przestronnemi werandami i spadzistemi dachami. W środku ogrodu znajdował się staw mały, zasilany przez nieznane jakieś ukryte źródełko; od stawu doby-

wał się z szumem strumyk wartki, który w linji krętej dopływał do zatoki. W środku stawu wznosiła się maleńka wysepka, tuż przy niej widniała misterna łódź japońska.

Koło stawu przechodząc, zawahał się Taro i przystanął i odrętwiałem z przerażenia okiem spoczął na ciemnej powierzchni toni, której nie zdołały ukryć ani deszczyk mglisty ani nawet ponura czerń nocy. Jakież wspomnienia dręczące mogły się łączyć z tem miejscem? Tu wychowywał się razem z Yuki. Ta sama jeszcze znajdowała się mała łódka, ta sama prześliczna wysepka, ten sam dom, jak ongi; nic się właściwie nie zmieniło. A jednak, — Yuki! Jęk ponury dobył się z piersi jego.

Istniała między niemi znaczniejsza różnica wieku, była od niego o siedm lat młodsza, a mimo to łączyły ich węzły sympatji i koleżeństwa o wiele silniejsze, niż zwykło się było spotykać u innych rodzeństwa wogóle. Ich pochodzenie stanowiło przyczynę, że trzymali się zdala od innych rówieśników; ci bowiem mali Japończycy wyśmiewali się i szydzili z ich włosów i oczu i nazywali ich „kiriszitans“*). Do siódmego roku życia Taro sam staczał mężnie wszelkie walki i bitwy z czeredą dzieci sąsiedzkich. Już jako chłopak przedstawiał typ osobliwy: był małomówny, usposobienia marzycielskiego, a przytem posiadał temperament namiętny, gwałtowny, który pozornie lekceważył wszelkie dowody i oznaki przyjaźni.

*) Kiriszitans — chrześcijanie.

A gdy mała siostrzyczka się urodziła, wtedy nie posiadał się z radości. Zasypywał ją tysiącznemi pieszczotami i najtkliwszą otaczał miłością, jakiej doznawał był od matki. Yuki bowiem urodziła się wówczas, gdy angielski jej ojciec już u furty stał krainy śmierci; dusza jej weszła w życie, podczas gdy dusza ojca przeniosła się do wieczności. Omatsu, matka, cierpiała wtedy bardzo; pogrążona w największej rozpaczy, cierpiała jeszcze bardziej z powodu urodzenia się córki. Taro więc zaniósł swoją maleńką siostrzyczkę do kapliczki rodzinnej i sam dał jej imię „śnieżnego płatka“ (Yuki), ponieważ przyszła na świat w takiej porze, kiedy kraj cały pokrywał całun śnieżny. Panowały wówczas, rzadkie w tym zakątku kraju, mrozy silne i śnieżne zadymki. Zresztą wielkie zdradzała podobieństwo do płatka śnieżnego, tak delikatną była i pozostała, białą i czystą.

Jakże więc teraz, gdy po tylu latach nieobecności wracał w te strony pierwszej młodości, pamięć jego miała pozostać wolna od wspomnień, wspomnień, które do niedawna były najsłodsze w jego osamotnieniu na dalekim świecie, a które dziś krwawiły mu serce? Wszakże była mu światem całym, wszystkiem.

Przypomniał sobie, jak najchętniej w swej małej łódce po stawie jeździli, jak ona, niby mała księżniczka, zwykle naprzeciw niego siedziała, jak w oczach jej gorzały płomienie ciekawości i tęsknego rozmarzenia, podczas gdy on opowiadał jej baśń o rybaku młodym Uraszimie, i narze-

czonej jego, córce króla smoków. A gdy dobiegał końca swej baśni, Yuki wołała za każdym razem: „Patrz, Taro-sana, ja jestem księżniczką, a ty chłopcem rybackim. Teraz musimy płynąć, płynąć, płynąć tam, gdzie słońce nigdy nie zachodzi i gdzie lato nigdy nie przemija". Więc Taro wiosłował w dalszym ciągu bez przerwy, wciąż dokoła wysepki, dopókąd słońce nie poczęło niknąć na zachodzie i mała mateczka ich do domu nie przywołała.

Teraz słychać było tylko monotonny plusk deszczu, który spływając po gałązkach wierzb nadbrzeżnych, wielkimi kroplami spadał na powierzchnię stawku. I Taro jęknął ponownie.

Gdy głośno do drzwi zastukał, rozległy się ociężałe kroki mężczyzny, nadchodzącego od tylnej części domu. Na zapytanie Tara o panią Omatsu, odezwał się głos mrukliwy, oznajmiający niechętnie, że pani udała się już na spoczynek.

To nic nie szkodzi, ma otworzyć natychmiast. Taro wypowiedział to głosem tak energicznym, że służący w mig podążył wypełnić rozkaz. Czekali jeszcze czas jakiś na dworze wśród nocy posępnej. Z domu nie dochodził ich żaden głos, cisza tam panowała martwa. Taro zastukał raz jeszcze. Wtem w jednem z okien obok drzwi ukazał się czarny cień, światełko słabe zamigotało i z ramy okna wychyliła się głowa męska. Upraszał o łaskawą cierpliwość, otworzy za sekundę. Był teraz bardzo pokorny i usłużny, a gdy ich wpuścił na kurytarz, cofnął się przed nimi, zrobił dyg i kłaniał się co krok; służba bowiem pani

Omatsu przyzwyczajona była do okazywania obcym najwyższej czci i poważania.

— Idź do swej pani, — rozkazał Taro, — i powiedz, że syn jej pragnie się zobaczyć z nią niezwłocznie!

Z drugiej strony szodżi dochodził ich gorączkowy szelest, zaczem Taro zauważył, jak ktoś od wyzierki odskoczył. Następnie minęło kilka minut wśród najuroczystszej ciszy, aż wreszcie rozsunęła się szodżi i do pokoju weszła kobieta. Jej miłość macierzyńska pchała ją w objęcia syna, którego nie widziała od lat pięciu: lecz mimo wszystko, uczucia swoje ukryła zręcznie. Syn jej przybył przecież w towarzystwie obcego, cudzoziemca, czcigodnego swego przyjaciela, godziło się przeto wystąpić z największą dystynkcją. Z wdziękiem osunęła się na kolana i biła pokłony, dopóki Taro do niej nie podbiegł i z ziemi podniósł.

Była piękna, bardzo delikatna i wytworna. Twarz jej owalna była świeża jak twarz dziewczęcia; Japonki bowiem starzeją się bardzo powoli. Trudno było uwierzyć, że kobieta ta jest matką tego smukłego, wysokiego wzrostu mężczyzny, który trzymając ją teraz za ramię, wbijał w nią wzrok przenikliwy, badawczy.

— Gdzie jest Yuki, moja siostra? — zapytał głosem chropowatym.

— Yuki? — Na obliczu pani Omatsu zakwitł uśmiech najświętszej niewinności. Ona chciała tu przyjść, ale cofnęła się od progu Czy nie zechciałby, proszę, zaczekać do jutra? Ach, jakże się powodziło jej wzniosłemu synowi, dostojnemu jej potomkowi?

Pieściła go, głaskała po twarzy, wspięła się na palcach, aby go ucałować, głaskała jego dłonie, dotykała cudzoziemskiego jego ubrania i roześmiała się wesoło na wspomnienie, jak podobne było do ubrania zmarłego jej męża. Ale zmarszczki na twarzy Tara pogłębiły się; pieszczotom matki nie chciał się poddać dopóty, dopóki nie uspokoiła go wiadomością o obecnym pobycie siostry.

— Każ ją sprowadzić! — rzucił krótko; wiedziała, że syn rozkazał, i że wobec tego nie wolno się dłużej sprzeciwiać.

Sprowadzić ją! Ach pani Omatsu prosi swego szlachetnego syna dziesięć miljonów razy o przebaczenie, gdyż popełniła wielką omyłkę. Siostra jego udała się oczywiście na spoczynek, ale nie w tym niegodnym jej i nędznym ich domu; bawi na wizycie u przyjaciółek.

Taro uwolnił się z jej objęć i odepchnął ją od siebie, a z oczu jego strzelały błyskawice.

— Gdzie?

Gdzie? O niedaleko stąd — może o jakie dwa pola ryżowe od ich domu.

— Nazwisko tych ludzi?

Pani Omatsu przelękła się nieco. Zmrużyła oczy, usta jej drżały febrycznie. Próbowała raz jeszcze uciec się do wybiegu.

Nazwisko tych ludzi?.... Nie może sobie przypomnieć, ale jutro... na pewno jutro...

— Ach — rzekł Taro z brutalną bezwzględnością — Oszukujesz mnie, kłamiesz! Żądam, abyś mi natychmiast powiedziała, gdzie znajduje się moja

siostra. Jestem jej prawnym opiekunem, i muszę zobaczyć się z nią w tej chwili.

Pani Omatsu zaoponowała z nieśmiałą stanowczością, lecz nie płakała. Zdobyła się nawet na lekki uśmiech, który Jackowi tak żywo przypomniał Yuki. Wogóle w słabo tym oświetlonym pokoju zadziwiająco podobna była do swej córki, a cała różnica polegała w tem, że była wzrostu niższego, nieco bardziej chuda i blada, gdy tymczasem Yuki miała wygląd zdrowy i świeży, niby róża najpyszniejsza.

Taro rozmawiał z nią po japońsku tonem ostrym i okrutnym, gdy ona znów odpowiadała łagodnie, pokornie, uspokajająco. Jack współczuł jej. Nagle Taro z giestem rozpaczy beznadziejnej i wzrastającej niecierpliwości odtrącił od siebie jej ręce,

— Nie mogę się od niej niczego dowiedzieć. — powiedział po angielsku. Poczem zwrócił się do niej ponownie.

— Słuchaj, jesteś moją matką, i jako taką muszę ciebie czcić i szanować, lecz tobie nie wolno mnie oszukiwać. Wiem już wszystko, wiem że siostra moja poślubiła Amerykanina; wiem, w jaki sposób odbył się ślub, jeżeli to wogóle ślubem nazywasz. Przecież ty najlepiej powinnaś wiedzieć, jaką wartość mają śluby tego rodzaju. Powiedz, co wiesz o tem wszystkiem. Przecież nie stało się to chyba bez twej wiedzy?

Słowa syna podziałały na nią jak uderzenie gromu. Wszystko stracone, skoro tyle już wiedział. Osunęła się do nóg jego, i — Jack ujrzał znowu w swych myślach skruszoną Yuki.

Taro podniósł ją nie bez pewnej łagodności, silił się, aby zwalczyć swój gniew.

— Proszę, powiedz mi całą prawdę, — mówił tonem błagalnym.

— Wszystko to uczyniła dla ciebie, — odparła cichoniemal szeptem. — Ja tego pragnęłam, ja, twoja matka, a potem i ona, twoja siotra. To była tylko drobna ofiara, mój synu.

— Ofiara? Jak to rozumiesz?! — zawołał gwałtownie.

— Ach, zabrakło nam pieniędzy na utrzymanie twoje w szkołach amerykańskich, a później, gdy zapragnąłeś powrócić, było nam jeszcze trudniej.

— O, Boże mój! Boże!

Omatsu snuła dalej swoją opowieść. Po jego wyjeździe do Ameryki utracili resztę swego niewielkiego majątku, lecz fakt ten zataili przed nim z obawy, że Taro, dowiedziawszy się, jak bardzo zubożeli, nie zechciałby dłużej przebywać na uniwersytecie. Dom należał do niego, nie mogli go więc sprzedać. Nieliczne pola ryżowe, jakie im pozostały, liche tylko przynosiły plony; ich dochody zmniejszały się z dniem każdym. Z czasem okazało się koniecznem zwolnić służbę i kulisów, tak że nie wielu tylko pozostało, a ci zrezygnowali z zapłaty za swoje czynności. Wszelkiemi sposobami starali się o pieniądze, aby tylko jemu dopomódz. Połączone to było wprawdzie z wielkiemi trudnościami, ale one kochały go.

Następnie Yuki udawała się codziennie bez wiedzy matki do Tokio, gdzie poznawała tajemnice sztuki gejsz; później sama układała tańce i piosnki,

tak że wkrótce mogła już była występować za dobrą opłatą w jednym z największych ogrodów w Tokio.

W jednym sezonie przyniosło im to znaczniejsze dochody, tak że przez pewien czas mogli mu byli wysyłać nawet większą kwotę niż zazwyczaj. Potem jednak nadeszła jego prośba o pieniądze na podróż powrotną. Ach, one były tylko kobietami słabemi, naiwnemi! Pragnąc zapewnić mu wygody, zapomniały zupełnie o podróży. Nakodo jeden, drugi poczęli się zbliżać do Yuki, nęcąc ją różnemi ofertami. Oparła się wszystkim; nie posiadała bowiem jeszcze tego wieku, w którym dziewczęta zazwyczaj wstępują w związki małżeńskie, — miała dopiero lat szesnaście. Lecz gdy nadszedł nakaz konieczności, gdy zażądał pieniędzy na podróż, wtedy stała się dostępną namowom swej matki i nakodów. Przekonali ją o korzyściach, w jakie obfitować może taki związek małżeński, aż w końcu, gdy listy jego, Tara, coraz natarczywiej upominały się o pieniądze, Yuki osłabła w swych pierwotnych postanowieniach i uległa zupełnie. Odtąd wspierała ją w wyszukaniu dla niej odpowiedniego męża. Powodzenie miały nadzwyczajne, gdyż Yuki udało się poślubić pewnego cudzoziemca, który niezawodnie wkrótce ją opuści, — co, zdaniem Omatsu, było wielkiem szczęściem, — a którego nadzwyczajne cnoty i bogactwa najmniejszej nie ulegały wątpliwości. Było to wszystko, co miała do powiedzenia. Czcigodnego syna swego prosiła i błagała najpokorniej o przebaczenie.

W czasie jej opowiadania Taro pochylił się ku

niej i z zapartym oddechem pochłaniał chciwie każde słowo, jakie z ust jej padało. Subtelna jego, nerwowa twarz wykręciła się straszliwie, pięści zaciskały się kurczowo, dygotał na całem ciele. Widoczne było, że czynił nadludzkie wysiłki, aby się pohamować, machinalnie tarł czoło i gładził swoją gęstą, czarną czuprynę.

— Nie mogłeś był zrozumieć, — zwrócił się do Jacka, a głos jego drżał z wewnętrznego wzburzenia. — Wszystko to uczyniły dla mnie, dla mnie, maleńka moja siostra się sprzedała! Aby mi zapewnić spokój i wygody... Yuki poświęciła się dla mnie! A ja nie wiedziałem o niczem! Nawet przez myśl mi nie przeszło, że one w tak ciężkich znajdują się warunkach. O, czyż nie miałem rąk dosyć silnych i ochoty w sercu, aby dla nich pracować, aby im służyć jako niewolnik? Dlaczego całe to brzemię spaść musiało na nią, na moją małą siostrę? Ale tak zawsze się działo, niemasz bo sprawiedliwości w tym kraju dla kobiet!

Jack słuchał tych bolesnych wynurzeń, a serce jego rwało się w strzępy. Aż wreszcie przez mózg jego przelecialo błyskawicą pytanie:

— Czy udzieliła ci matka jakichkolwiek wyjaśnień, gdzie obecnie się znajduje?

Taro zapomniał o tem zupełnie. Opowiadanie matki pochłonęło całą jego uwagę. Groza, jaką wywołała w nim opowieść ta o ich ofierze, myśl, że tyle lat słodyczy życia dla niego poświęciły, wreszcie wyrzuty sumienia, jakie odczuwał z powodu dzisiejszego obrażającego zachowania się wobec nich, — to wszystko przygniatało jego bie-

dną, zesmaganą duszę. Lecz zapytanie Jacka podziałało na niego otrzeźwiająco, przez mózg jego przesunęły się tysiące najposępniejszych przypuszczeń.

— Tak, tak... gdzież ona? — zapytał surowo.

Przebywała teraz od kilku dni u swego męża. Pani Omatsu spodziewała się jej lada dzień, a tym razem nie powróci już do swego męża.

Tara oczy pałały jakimś ogniem niesamowitym, strasznym.

— Nie wróciła więc dzisiaj? Ona powinna tu już być przed nami! Ach, ale nie trudno się domyśleć, co się z nią stało. W tej chwili odbiera sobie może już życie; prawdziwa Japonka uczyniłaby to z pewnością. A w żyłach Yuki płynie przecież krew bohaterów, ona napewno się nie zawaha.

Nagle zwrócił się do swego przyjaciela. Strach śmiertelny i wzburzenie okropne, wywołane opowiadaniem matki i tajemniczem zniknięciem siostry, zrobiły swoje. Taro zatoczył się, stracił przytomność. Zanim Jack zdążył go pochwycić, Taro runął na podłogę, a upadając, uderzył czołem o krawędź krzesła, w którem ongi zwykł był siadać jego ojciec. Gdy Jack uniósł jego głowę, ujrzał głęboką ranę i pasemko krwi spływającej na lewe oko.

W całym domu rozległy się przyspieszone kroki, wylęknione szepty i zawodzenia, a ponad tem wszystkiem rozebrzmiała skarga żałosna matki szalejącej w trwodze i trosce o dziecko umiłowane.

XIV.

Walka nocna.

Przy łożu chorego pełnili straż niestrudzenie dniem i nocą. Był niespokojny, zrywał się co chwilę, to szeptał lub głośno krzyczał; a zawsze z ust jego dobywało się jedno tylko słowo — jedno imię — imię siostry.

Pieszczotliwie obejmowała matka skroń jego rozpaloną, łagodnie, z miłością niewysłowioną głaskała ręce niespokojne, usiłując chłodem rąk swych ujarzmić nękającą go febrę. Troska wycisnęła na niej swe piętno; znużone jej oblicze pokryła sieć drobnych zmarszczek, srebrne pasemka wkradały się zdradziecko w lśniącą czerń jej włosów. Lecz nigdy już, od czasu owej pierwszej okropnej nocy nie ujawniła niepokoju i rozpaczy, jaka szarpała jej trzewia; wiedzała bowiem, że w przeciwnym razie oderwanoby ją od niego, że nie pozwolonoby jej spełniać obowiązku najszczytniejszego i najsłodszego, jakim jest pielęgnowanie syna. Czuwała przy nim, odmawiając sobie snu i spoczynku, dzień i noc. Służba błagała ją, aby raz przynajmniej zechciała oddalić się od syna i odpocząć — lecz bezskutecznie. Spoczynku dla siebie? Gdy syn jej miotał się w gorączce? Nigdy! Ona musi stać tu na straży.

I również nalegania młodego Amerykanina nie odniosły najmniejszego skutku. W odpowiedzi miała tylko uśmiech smutny i lekkie potrząśnięcie głowy na znak niemego protestu.

— Pozwól, że ja ciebie zastąpię, — prosił. — Przecież Taro jest mi równie drogi.

Znowu uśmiechnęła się swym uśmiechem bezgranicznie smutnym a za serce chwytającym, zaczem ponownie zwróciła się do chorego.

Jack udał się do Tokio na poszukiwanie zaginionej Yuki. Nie szczędząc pieniędzy, poruszył wszystkie organa policji miasta stołecznego. Nakodę, który pośredniczył w ich małżeństwie, wzięto w krzyżowy ogień badań śledczych; nie umiał dać jednak żadnych wyjaśnień. Właściciel ogrodu herbaciarni zaklinał się, że nietylko nie powróciła do niego, ale wogóle jej nie widział, gdy zaś wyrzekać począł na los swój nieszczęsny, który dom jego nawiedził zgrają urzędników policyjnych, pocieszył go Jack sutem wynagrodzeniem strat, jakie rzekomo był poniósł.

I minął już piąty dzień poszukiwań, a jeszcze nie zdołano wyświetlić zagadkowego zniknięcia dziewczyny. Wyznaczono wielkie nagrody za ujawnienie obecnego jej miejsca pobytu. Policja była przekonana, że Yuki przebywa z pewnością gdziekolwiek w Tokio, więc Jack zmuszał urzędników do nieustannych rewizyj w mieście, — lecz mimo wszystko, dzień za dniem kończył się bezowocnością trudów. Ktoś tam przypomniał sobie, że wieczoru przed zniknięciem widział ją wchodzącą do pewnej herbaciarni; wygląd jej zgadzał się najzupełniej z rysopisem. Inny widział ją na targu sprzedającą kwiaty. Ktoś trzeci znów przysięgał, że spotkał ją na pokładzie niemieckiego statku w towarzystwie jakiegoś zblazowanego młodzieńca. Każdy zaręczał, że to ona, omyłka pod tym względem była wykluczona — wszakże po-

siadała znamiona aż nadto uderzające: była Japonką o fjołkowych oczach i włosach kasztanowatych. Ale wszystkie te doniesienia były mgliste, niejasne, a ostatecznie okazały się zgoła nieprawdziwe, z palca wyssane.

Jack wrócił do domu rodzinnego Yuki przygnębiony od doznanego zawodu i śmiertelnie strudzony. Zaraz na wstępie służący oznajmił mu wesołą nowinę, że stan pacjenta znacznie się poprawił, że się wreszcie uspokoił i że w tej chwili pogrążony w błogosławionym śnie. Pierwsza ta pomyślna wiadomość od dni wielu podziałała na Jacka druzgocąco, który i tak już doznanemi zawodami czuł się wyczerpany. Osunął się na krzesło, ukrywszy twarz w dłoniach. Odczuwał potrzebę wypoczynku, lecz jednocześnie nurtowała w nim myśl o matce przy łożu chorego.

— Czy pani Omatsu użyczyła sobie chwili spoczynku?

Nie, ona wciąż jeszcze czuwała, ale bardzo już była słaba, goniła resztkami sił; zachodzi obawa, że lada chwilę runie bez życia.

Wolnym krokiem udał się Jack na górę, zastukał cicho do szodżi i wszedł do pokoju pacjenta.

Taro leżał na wznak na wygodnem, dużem łożu angielskiem.

— Musisz wypocząć, — szepnął Jack do zgarbionej nieco i pobladłej kobiety, klękając równocześnie przy łożu.

Broniła się lekkiem potrząśnięciem głowy.

— Proszę cię o to, — mówił tonem błagalnym, a jakkolwiek nie rozumiała jego języka, to przecież domyślając się co mówił, broniła się energicznie.

— Chodź — mówił serdecznie, obejmując ją ramieniem. — Widzisz, że śpi teraz. Dla niego jest to dobrodziejstwem, a tobie mogłoby zabraknąć sił do dalszej pielęgnacji, gdy się zbudzi.

Ale ona twierdziła, że czuje się doskonale, i że syna swego nie może opuścić żadną miarą. Pochylił się, usiłując ją w sposób łagodny podnieść, lecz Omatsu broniła się.

Widział, jak oczy jej zamykały się od zmęczenia. „Niebawem uśnie" — pomyślał, usiadł obok niej, objął ją ramieniem i ułożył jej głowę na swych piersiach. Przestała się bronić. Z wdzięcznością spojrzała w jego szczere, dobre oczy. Westchnęła głęboko raz, drugi... W pokoju panowała cisza niezamącona, świątynna; Omatsu zapadała powoli w sen głęboki, a westchnienie, jakie od czasu do czasu dobywało się z jej piersi, świadczyło o jej bezgranicznem wyczerpaniu.

Jack spojrzał na nieruchumą postać Tara. W szarym mroku budzącego się dnia twarz jego miała wyraz straszny, ponury. Zadrżał i zwrócił oczy w inną stronę. Spoczywająca na jego ramieniu mała postać poczeła ciężyć.

„Leżąc wygodnie, wypocznie bezwarunkowo lepiej", — przemknęło mu przez myśl; więc zaniósł ją do pokoju przyległego i ułożył ostrożnie na macie. Następnie zabrał ze sobą do pokoju chorego palącą się andonę, ustawił ją w kąciku za łóżkiem

i zasunął okiennice. Zaczem wrócił do łoża i w niewysłowionym smutku spoglądał na śpiącego. Taro poruszył się, a dłoń jego, leżąca dotąd bezwładnie na kołdrze, zacisnęła się kurczowo, twarz jego przybrała wyraz przerażający. Jęknął; Jack miał wrażenie, jakoby chorego jakaś straszliwa męczyła zmora, odbierając mu tak bardzo potrzebny spokój.

I było tak rzeczywiście, jak Jack był przypuszczał. Tara męczyły sny gorączkowe. Widział swoją małą siostrzyczkę, Yuki, roztaczającą nad nim opiekę z zupełnem poświęceniem. Siedziała przy nim, a on czuł się pogodnym i spokojnym. Lecz nagle — cóż to?! Właśnie, gdy w błogie zapadał rozmarzenie, tuż przy Yuki ukazała się ciemna jakaś postać, która się nad nią pochyliła, dotykając ruchem gwałtownym, brutalnym. Yuki broniła się najpierw zawzięcie, potem coraz słabiej, aż wreszcie obezwładniona zupełnie, leżała cicha i blada. Mężczyzna zarzucił ją na swoje plecy i wybiegł z pokoju. Po chwili wrócił ponownie i pochylił się nizko nad Tarem. Niby przez mgłę ujrzał twarz nieznajomego i rozpoznał przyjaciela swego, Jacka Bigelowa! Próbował wyciągnąć ku niemu rękę, aby go pochwycić, bić i zabić, ale przemoc jakichś potęg niewidzialnych ogłuszyła go i spętała. Dobywał resztek sił — daremnie, dłonie były bezsilne, nawet oczu nie mógł rozewrzeć. A przez cały ten czas czuł na sobie oddech tego człowieka, oddech, który wwiercał się w nozdrza jego, mózg, krtań, grożąc mu lada chwilę uduszeniem.

Jack zauważył ze strachem to nagłe zadysze-

nie przyjaciela, pochylił się więc nad nim, aby poprawić poduszki i tym sposobem nieco mu ulżyć. Lecz wtem zawrzała na nowo krew w żyłach chorego — Taro się zbudził. Jack ujrzał teraz straszliwe błyskanie dwu rozżarzonych oczu, które go wręcz hypnotyzowały. Z nieokiełznaną wściekłością odrzucił szaleniec kołdrę i poduszki, wyskoczył z łóżka i rzucił się na Jacka z takim rozmachem, że obydwaj runęli na ziemię; chory legł górą na Jacku.

— Teraz wreszcie mam ciebie! — Zdrajco! Oszuście! — wykrztusił, czując w swych dłoniach ciepłą szyję Jacka.

Jacka zaskoczyła ta napaść tak niespodzianie, znienacka, że w pierwszej chwili zupełnie stracił przytomność umysłu, niebawem zaś przejrzał, że zapóźno już na skuteczną obronę. Był w ręku szaleńca, którego uważał zawsze za siłacza wręcz niezwykłego. Jedyny ratunek dla siebie widział nie w walce na siłę, lecz w ucieczce do fortelu — w zachowaniu się na wskroś biernem i udawaniu zemdlenie. Lecz jakże to udawać, skoro straszliwe palce opasały kark jego niby żmije, aby go zadusić? Uciskały go raz silniej, raz słabiej, to znowu głaskały kark i szyje, aby po chwili dusić od nowa. Bawił się nim! Jack leżał nieruchomy. Miał oczy zamknięte a w głębi serca modlił się o moc wytrwania, aby danem mu było mężnie znieść wszystko, cokolwiek się stanie.

Dokąd ją zaniosłeś? — wwiercał się świszczący szept w ucha Jacka. — Coś z nią uczynił? He, he, milczysz!? Czyż ja w tej chwili zdławiłem twoją

mowę, ot tak? Zimny jesteś; nie możesz już oddychać, ani się uśmiechać, ani się śmiać.— — — Nie, nie, gdy moją ręką cię tak ściskam, ot tak ——— Niegdyś byłeś mi przyjacielem i ja miłowałem ciebie! Ale ty ją zabiłeś! Więc teraz ja ciebie zabiję, tak — — — ot tak — — — tak!! — Jack czuł wyraźnie jak z każdą chwilą coraz bardziej słabnie. Klęcząca na nim biała postać ze strasznemi od szaleństwa oczami, pochyliła się jeszcze niżej, ale Jack nie widział już nic i nie słyszał. Wtem zdało się mu, jak gdyby ktoś inny na niego się rzucił, i począł bić dotkliwie. Gdzieś w zakamarkach mózgu usłyszał jeszcze niewyraźnie kobiecy krzyk trwogi i potworny śmiech męski. Poczem utracił resztę świadomości myśli i czucia.

Jack ocknąwszy się z zemdlenia, ujrzał że leży w łóżku. Kobieta jakaś pochylona nad nim, chłodziła mu głowę, głaskała i pieściła — kobieta o obliczu anielskiem, tak podobnem do twarzyczki Yuki ongi, gdy opiekowała się nim podczas jego przejściowej choroby. A sama myśl o słodkiej jej obecności podziałała na niego tak silnie, że stracił przytomność. Lecz to nie była Yuki, to była jej matka. Okrzyki syna zbudziły ją; zerwała się więc, a wbiegłszy do jego pokoju, była świadkiem straszliwej sceny. Japonki nie boją się razów cielesnych; krzykiem przywołała służbę, rzuciła się między obu mężczyzn i wytężyła nikłe swe siły, aby ich rozłączyć. Syn zaśmiał się w pierwszej chwili śmiechem obłędnym, niesamowitym i stawił opór; gdy jednak bladą jej twarz ujrzał tuż przed sobą, dłonie jego rozluźniły się i zatoczył się

wtył, pokonany druzgocącą potęgą powracającej przytomności. Uważał ją również za ducha swej zaginionej siostry.

Służba w popłochu największym wbiegła do pokoju. W sposób łagodny odciągnęli go i ułożyli z powrotem do łóżka; był słaby i potulny jak dziecko.

Jack uniknął szczęśliwie obrażeń poważniejszych. Mimo to zajście nocne ścięło go z nóg, i na kilka dni przykuło do łóżka. Omatsu i nad nim roztoczyła swoją troskliwą serdeczną opiekę. Była ona duchem najlepszym niosącym pokój ukojny pomiędzy obu chorych, z których każdego zwała swym synem. Była dla Jacka rzeczywiście jakby matka rodzona, a on pod wpływem rosnącej wdzięczności błogosławił ją i całował jej ręce za każdym razem, gdy się tylko do niego zbliżyła.

XV.

Ślubowanie.

Łagodny smutek rdzawej jesieni minął, zda się, bezpowrotnie z ostatnim jej żółtym błyskiem świetlanym. Nadciągnął grudzień, a towarzyszyły mu przymrozek i mała zadymka śnieżna. Rzecz to niebywała, — grudzień bowiem w Japonji nie zalicza się do miesięcy zimnych. Z nastaniem jego wstąpiły ruch i życie do małych domków. Przygotowywano pilnie świeże maty ze słomy ryżowej i każdy kącik czyszczono skrupulatnie miotłą bambusową. Tak każe zwyczaj. Japończycy już w początkach grudnia rozpoczynają swoje przygotowania na powitanie Nowego Roku; w tym czasie kraj

cały zdaje się budzić do nowego czynnego życia i wtedy wszędzie panuje nastrój uroczysty, odświętny.

Wszędzie krzątano się wesoło i zabiegliwie, wszędzie dokoła rozlegały się nawoływania i śmiechy, a tylko w starym pałacyku Burtonów panowała cisza mroczna, tajemnicza. Jego wygląd starożytny i ponury tworzył charakterystyczny kontrast wśród otaczających go domków sąsiedzkich. Nie otworzono tam ani drzwi ani okień, aby wpuścić świeżą falę powietrza i słońca zbliżającego się Nowego Roku.

Szary niby proch, jaki nagromadził się w niezamieszkałych pokojach, zawisł nad pałacem cień śmierci. Olbrzymie cienie, tajemnicze i przygniatające ogromem smutku, tłumnie tłoczyły się do wnętrza i zapełniały je upiorną swoją obecnością. W oddali huczały dzwony wieczorne, a tony jego powolne i jękliwie zdały się śpiewać pieśń żałobną. Na dworze wichry zimowe zawodzące śpiewały Requiem, i wszystkie duchy powietrzne zbiegły się tu i w niecierpliwych krążyły lotach, do posępnego stukając pałacu.

O zmierzchu konający odzyskał niespodzianie przytomność. Okiem zmęczonem choć nie przymglonem powiódł dokoła siebie i uśmiechnął się nawet słabo, usłyszawszy płacze i lamenty, jakie rozległy się w dolnych pokojach. Zgromadziła się tam stara wierna służba, która lepsze czasy Burtonów pamiętała, a która opłakiwała teraz bliski zgon syna i pana domu.

Koło szafki minjaturewej w narożniku pokoju klęczała matka. Usta jej były nieme, wymowne jednak oczy jej żebrały litości u bogów. Obok łoża zaś klęczał Jack z twarzą ukrytą w dłoniach. Może i on zanosił modły błagalne do jedynego Boga swego narodu.

— Taro, — przemówił, gdy chory się poruszył, — czy chciałeś mi co powiedzieć?

Pochylił się nad nim i ocierał zimny pot kroplisty, jaki pokrywał czoło i usta chorego.

— Siostra moja... — począł Taro mówić powoli z bolesnym wysiłkiem.

— Moja żona, — szepnął Jack głosem zamierającym. A widząc, że Burtonowi ząbakrło już sił do dalszego wypowiedzenia się, przyłożył swe usta do jego ucha.

— Taro, jedna jest nasza troska. Przysięgam ci na wszystko, co mam najdroższego, że nie spocznę dopóty, dopóki nie odszukam mojej żony! Nie będę szczędził ani sił, ani pieniędzy, żadnego środka nie pominę. Jak Bóg na niebie, naprawię wszelką krzywdę, jaką w nieświadomości swej wyrządziłem tobie i twojej rodzinie.. i sobie samemu!

Szeroko rozwarte oczy Tara spoczęły na Jacku nieruchome. Jego wychudła dłoń zadrżała, jak gdyby usiłował ją unieść. Jack ujął ją milcząco Zrozumiał, że te nieme wysiłki miały wyrazić mu wiarę i zaufanie. Pogłębił się mrok smutkiem brzemienny, gdy Jack uklęknąwszy ponownie, ściskał i głaskał ręce przyjaciela, aż stały się sztywne i zimne.

Dokąd też podążyła dusza Tara? Czy w daleką udała się podróż do krainy przodków matki, czy też uniosła się do stóp wielkiego Boga jego ojca?...

Omatsu przybliżyła się chwiejnym krokiem; twarz jej pokryła bladość trupia; szła jakby ociemniała z rękoma przed siebie wyciągniętemi.

Jack ocknął się z odrętwienia. Opuścił bezwładną rękę Tara i skoczył na równe nogi jak gdyby sobą zasłonić pragnął widok zmarłego. W cieniach panującego mroku wydawała się niby widmo eteryczno-powiewne, gdyż dziś właśnie przywdziała na siebie nieskalane szaty zmarłych.

Ostatnim szczątkiem heroizmu swych przodków rycerskich przysposobiła się Omatsu do towarzyszenia synowi w niebezpiecznej podróży do krainy nieznanej. Ale myśl o pięknie tej ofiary splątało nagle trwożliwe powątpiewanie, czy bogowie zechcą ją przyjąć wraz z synem, skoro on duszę swoją zagranicznemu, obcemu oddał Bogu. Mimo to jednak była zdecydowana ponieść wszelkie skutki swego czynu. Tak więc słaniajac się, stała tutaj w swych szatach widmowych naprzeciw wysokiego blondyna, który spoglądał na nią współczującemi, siwemi oczami zmarłego jej władcy.

Chciała mówić, ale głos jej podobny był raczej do szeptu ochrypłego:

— Anata*)? — Słowo to posiadało słodycz niepojętą, rozbrzmiewało w niem pytanie i prośba zarazem: „O zejdź ku mnie, zejdź, i oznajmij dostojne twoje, ostatnie życzenie!“

*) Anata — ty, panie

— Matko! — wydarło się z piersi Jacka. —. Droga matko!...

Na pogrzebie Tara poznał Jack rodzinę swojej żony. Nigdy nie byłby przypuszczał, że ktokolwiek może posiadać tak liczną rodzinę. Przybyli z wszystkich zakątków kraju, rodzina bliższa i dalsza, wujowie i ciotki, a nawet dziadek, ułomny ociemniały zupełnie staruszek i stara babka. Wszyscy oni zjawili się w zwartym szeregu, roniąc łzy szczere lub udane i szepcąc modlitwy za duszę zmarłego.

Niektórzy z nich posiadali bogactwa i zaszczytne piastowali urzędy państwowe; inni znów byli grzeczni i uprzejmi, a przybyli tylko dla tego, aby uczynić zadość wymaganiom tradycji i form towarzyskich; najliczniejsi jednak z pośród nich wszystkich przedstawiali typ podupadłej szlachty japońskiej — biedni, lecz dumni, pełni godności a przecież w godności swej skromni i pokorni.

Wszyscy oni przyglądali się Jackowi z tym poważnym stoicyzmem, który stanowi właściwość wyższych sfer japońskich, i nie okazali ani cienia zdziwienia lub zgoła niechęci z powodu obecności jego w ich kole. W gruncie rzeczy nie znał nikt stosunku jego do rodziny, nie było więc najmniejszego powodu do jakiejkolwiek przeciwko niemu animozji. Poprostu uważano go za przyjaciela Tara. W przeczuleniu swem jednak był Jack przekonany, że patrzą na niego jak na intruza a może jako na takiego, który na dom ich sprowadził nieszczęście i zniszczenie.

Gdy jednak po pogrzebie gromadka przyjaciół i krewnych powoli się rozeszła, tak że pozostało ch dwoje tylko, on i Omatsu, wówczas zaciążyła na nim samotność i cisza martwego domu tak wielce, że z zadowoleniem byłby powitał choćby żałosne zawodzenia służby, aby tylko usłyszeć głosy jakie i życie.

Również i Omatsu, która przez cały dzień zachowywała się z podziwu godnym spokojem i męstwem, drżała teraz i dygotała, opadła ze sił. A gdy Jack zbliżył się do niej z wyrazem współczucia, przytuliła się do niego rzewnie płacząc, niby dziecko małe, srodze pokrzywdzone. Pocieszał ją i wypowiadał słowa otuchy, a jednocześnie łzy jego spadały na jej pochyloną główkę. I usiłował jej wytłumaczyć — coprawda japońszczyzną okropną, której nauczył się nieco od Yuki, — jaką opieką i miłością ją teraz otoczy, w jaki sposób zabezpieczyć zamierza jej przyszłość, słowem — snuł plany takie jakgdyby Omatsu rzeczywiście była mu matką rodzoną. Mówił dalej, że wprawdzie nie czuje się tego godnym, lecz mimo to wytęży wszelkie starania, aby zastąpić jej dostojnego syna, który teraz śpi snem niezakłóconym, wiecznym. A wreszcie mówił o przyrzeczeniu danem Tarowi, jak to od tej chwili począwszy, poświęci swe życie i każdy krok swój jedynemu celowi: poszukiwaniu swojej żony. Czy nie zechciałaby mu towarzyszyć?

Błagała go, aby ją zabrał ze sobą. Koniec końców jednak nie mogła mu towarzyszyć, mimo wszystko. Jej zdrowie, które nigdy właściwie nie

było nadzwyczajne, pogorszyło się teraz z powodu przeżyć ostatnich i bolesnych doświadczeń. Więc Jack zawiózł ją do starych jej rodziców, ponieważ spieszno mu było rozpocząć dalsze poszukiwania. Omatsu zaś była stanowczo za słaba, aby módz dzielić z nim wszelkie trudy podróży wywiadowczych. Przed swym wyjazdem wszakże uczynił wszysto, aby jej i jej rodzicom zabezpieczyć spokojny żywot i wygody.

Tak tedy stary pałacyk, wyglądający na tle zimnego pejzażu szaro i ponuro, opustoszał teraz zupełnie. Mieszkańcy miasteczka spoglądali nań z lękiem niemal zabobonnym, jako na dom przez upiory nawiedzony. Na zewnątrz bowiem przedostało się to i owo z tragiedji, jaka się tu za zamkniętemi drzwiami rozegrała.

Jack opuszczał stary ten pałacyk jako ostatni. Omatsu prosiła go o wypłacenie służbie zaległych zasług i o szczelne zatarasowanie drzwi pałacyku i bramy ogrodowej. Załatwiwszy wreszcie wszystko, opuścił próg domu Burtonów. Zrazu przeląkł się na widok tłumu zaciekawionych sąsiadów, stojących pod parkanem i oczekujących go z niespokojnym jakimś szeptem. Gdy jednak obok nich przechodził, zachowali się wobec niego z milczącą uprzejmością. Ten rosły cudzoziemiec, który poślubił ich rodaczkę, stanowił przedmiot ogólnego zaciekawienia, wszyscy też przyglądali mu się wielkiemi zdziwionemi oczyma i towarzyszyli mu przez całą drogę aż do dworca. Był to jak gdyby pochód karzełków, przypominający nieco ciągnącą za cyrkiem czeredę dzieci. Odwrócił się ku nim

ze dwa razy, jakoby chcąc ich prosić, aby się rozeszli, równocześnie jednak uświadomił sobie, że obecność jego w tem miasteczku w tak wyjątkowych warunkach, mogła się im była wydać istotnie bardzo zagadkową i dziwną.

Doszedłszy do dworca, ukłonił się im poważnie, — stojący na przedzie odpowiedzieli mu ukłonem uroczystym i przyjaznym. I w ten oto szczególny, wzruszający sposób, nie pozbawiony pewnej groteskowości, opuścił wielki cudzoziemiec miasto.

Przed niespełna rokiem był on jeszcze młodzieńcem wesołym i szczęśliwym. A dziś? Dziś był to mężczyzna obarczony wielkim ciężarem, mający spełnić święte przyrzeczenia. Na drodze swego żywota stanął nagle nad straszliwą przepaścią, którą należało przebyć. Wiedział, że życie nie będzie już miało dla niego tego złotego uroku, dopóki nie odnajdzie drugiej połowy swojej du-
— wojej bogini słońca.

XVI.

Pielgrzymka miłości.

Jack udał się do Yokohamy, gdzie zdaniem detektywów tokijskich, miała się znajdować obecna siedziba Yuki. Pośród dziewcząt pląsających pojawiła się bowiem obca jakaś gejsza urody cudnej, a ponieważ nikt nie znał kolei jej życia, przypuszczano, że może to być nasza zaginiona. Lecz nieznajoma zniknęła właśnie w wilję dnia jego przyjazdu.

W wielkiej metropolji Japonji przesiedział okrągło miesiąc; zwiedził wszystkie ogródki i lokale rozrywkowe, przy pomocy kilku agientów przetrząsnął wszystkie herbaciarnie i teatrzyki. A jakkolwiek sprowadzono do niego wiele dziewcząt, podobnych rzekomo według opisu do Yuki, nie była żadna tą, której poszukiwał Jack. Dzień za dniem przynosił mu nowe gorzkie rozczarowania

Pewnego dnia odwołał go z powrotem do Tokio telegram głównej policji. Tu usłyszał wiadomość, że agienci wykryli poszukiwaną w Nagasaki, mieście portowem na zachodniem wybrzeżu Kiuszu. Nagasaki było właśnie pierwszem miejscem zamieszkania ojca Yuki po przybyciu do Japonji. Jako syn majętnego fabrykanta jedwabiu przybył dotąd, aby wydoskonalić się w przemyśle jedwabnym i przedsiębiorstwo swego ojca następnie powiększyć. Japonja jednak zachwyciła Stefana Burtona tak dalece, że ożenił się z Japonką, przyjął zwyczaje jej rodaków a po pewnym czasie przyjął nawet obywatelstwo japońskie. Za życia nie wracał nigdy do swej ojczyzny, po jego śmierci jednak zgłosili się jacyś nieznani, zimni, rudowłosi cudzoziemcy, którzy ciało zmarłego rodzinie wydarli i zawieźli je za morze.

Stary Sir Stefan Burton nie mógł darować synowi swemu tego — jak twierdził — mezaljansu. Był nieubłagany. Taro i Yuki ani znali, ani widzieli kiedykolwiek rodzinę swego ojca, jego samego zaś zaskoczyła śmierć, gdy oni jeszcze dziećmi byli.

W każdym razie nie była wykluczona możliwość, że w sercu Yuki zbudziło się niespodzianie jakie uczucie sentymentalne, które zwabiło ją do tej miejscowości. Oprócz tego istnieje tam wiele mniejszych i większych herbaciarni, w których z łatwością mogła była znaleść zajęcie. Policja utrzymywała w swem sprawozdaniu stanowczo, że tym razem nie omyliła się, że odnalazła Yuki napewno.

Podróż Jacka dokonywała się pociągami powolnemi i nudnemi, pozbawionemi jakichkolwiek urządzeń do spania i nowoczesnego komfortu, do którego Amerykanie tak bardzo są przyzwyczajeni. Częścią odbywał podróż także w dżinrikiszach. przyczem dobywające się z pod stóp pędzących co tchu kurumajów tumany kurzu zasypywały mu oczy i usta. Zdarzało się jednak, że ogarniał go nagły niepokój, a wtedy odbywał podróż pieszo. Tak więc, wyczerpany i chory, osięgnął wreszcie Nagasaki. Tu opadła go prawdziwa zgraja nakodów, zachwalających mu, każdy na swój sposób, małżeńskie szczęśliwości. Przepędzał ich bez litości. Wskrzeszali w nim bowiem wspomnienia z przed roku, wspomnienia, które w tym momencie były więcej, niż bolesne.

Herbaciarnia, do której go zwrócono, należała do podstarzałej gejszy, która swego czasu słynęła z urody i dowcipu. Obecnie przedstawiała typ istoty wielce przesadnej o wdziękach wątpliwej wartości, podtrzymywanych sztucznie. Witała Jacka wyszukanemi słowami wyśrubowanej swej grzeczności i słodkim, choć nieco piszczącym

głosikiem sławiła przejemności i zalety swego „ubogiego domu".

Nie marnował czasu na odwzajemnienie się komplementami, a od razu przystąpił do palącej go sprawy. Czy w przedsiębiorstwie jej nie przebywa pewna bardzo piękna, młoda dziewczyna która śpiewa i cudnie tańczy?

Pytanie to wywołało na twarzy pani Mominoha (takie było jej nazwisko) wyraz wesołego zdziwienia. No, patrzajcie! Przecież herbaciarnia jej słynie właśnie z tego, że posiada wybór najpiękniejszych dziewcząt w Japonji, a wszystkie one śpiewają i tańczą cudniej, niż same rusałki. Nie powiedziała tego wszakże, a nadmieniła tylko skromnie:

— Dziewczęta moje są wszystkie piękne i wszystkie też posiadają sztukę śpiewu i tańca. To bowiem należy nieodzownie do zawodu gejszy.

— Dziewczynę, której ja szukam, nie trudno rozpoznać. Różni się ona od wszystkich innych. Jej oczy... ma błękitne oczy. Ona jest tylko półjaponką.

— Ach!... Mieszaniec! — Pani Mominoha wydęła usta w wyrazie pogardy. Mimo to jednak nie straciła nic z swej nadmiernej uprzejmości; udawała, jakoby czyniła przegląd w swej pamięci. Zaczem poprosiła go aby w każdym bądź razie się zatrzymał i przyjrzał się dziewczętom osobiście.

Jack oczekiwał niecierpliwie i drżał na samą myśl o tem, że za chwilę może ujrzy umiłowaną Yuki. Aczkolwiek bardzo uważnie przyjrzał się

wszystkim mieszkankom domu pani Mominoha, nie znalazł przecież żadnej, która choćby w przybliżeniu podobna była do poszukiwanej.

Głęboki zawód malował się na jego twarzy, gdy wręczał zapłatę swej gospodyni, która, przeczuwając, że ma przed sobą bogacza, nie opuszczała go ani na chwilę przez cały wieczór.

Spojrzała na nadspodziewanie wysoką nagrodę i... uczucie wdzięczności i współczucia powołało do życia całą jej wrodzoną pomysłowość.

Teraz dopiero, po dokładniejszym namyśle, przypomniała sobie, że przed kilku dniami zaangażowała się do niej na krótki czas dziewczyna, która podobna była zupełnie do opisywanej żony jego; ale, niestety, odeszła od niej i wyjechała do Osaki.

W wyrazie twarzy pani Mominoha malowała się szczerość, jej słowa posiadały siłę przekonywującą. Oczy jej rozpływały się w serdecznem współczuciu, łącząc się zaś z dźwiękiem jej słów, działały pokrzepiająco i nowe ukazywały źródło nadziei.

Jack z niekłamaną wdzięcznością uścisnął jej wąskie wypieszczone ręce.

Osaka? Jak długo się jedzie? Czy pani Mominoha przypuszcza, że ją tam jeszcze zastanie? Jaki jest dokładny jej adres?

Owszem, była przekonana, że przybędzie na czas i że ją tam napewno zastanie. Więc z kasetki wyjęła maleńką tabliczkę, wypisała na niej szczegółowy adres i chyląc się w głębokich, wdzięcznych ukłonach, wyrażała nadzieję, że bogowie

nie opuszczą go w swej łaskawości i zwrócą mu drogi skarb.

Jack przyjechał do Osaki nocą, gdy liczne kanały i rzeczki miasta tysiączne oświetlały lampjony i światła.

Hotel znajdował się w wielkiej odległości od stacji, na ulicach jednak panowała pustka. Nocą wydało się to miasto szczególnie romantyczne i ciche, ukojne, wydało się zakątkiem, który nęcić mógł był każdego o usposobieniu Yuki. Ale to było wrażenie nocy. Światło dzienne ukazało oblicze miasta takie, jakie było istotnie hałaśliwe centrum handlowe, gdzie nieustanny pospiech gnał ludzi za ich interesami.

Jack zatrzymał się w Osaki zaledwie dni kilka; nie znalazł jej tam. Waściciel ogródków rozrywkowych Osaki, któremu Jack opowiedział swoją historję, przyznawał wprawdzie, że podobna dziewczyna zaszczyciła na krótki czas jego niegodne ogrody, równocześnie jednak prosił go pokornie o przebaczenie, że opuściła go już przed kilku dniami. Dokąd wyjechała? Do Kyoto!

A w Kyoto, najprzyjemniejszem i najpiękniejszem mieście w całej Japonji, odsyłano go z jednej harbaciarni do drugiej. Każdy z gospodarzy przypominał sobie, że posiadał u siebie gejszę, której wygląd zgadzał się słowo w słowo z opisem Jacka, każdy jednak dodawał stereotypowo, że opuściła go przed niedawnym czasem. Powiedziano mu, że była to gejsza wędrowna, podróżująca z miejsca na miejsce, dziwnie niespokojna i tajemnicza, a urocza niby sama bogini słońca.

Ostatecznie idąc za jej śladem, znalazł się z powrotem w Tokio, w miejscowości, skąd rozpoczął był piegrzymkę swoją nużącą a bezowocną. Miała zajmować — jak mu opowiadano — naczelne miejsce wśród gejsz „ogrodów chryzantemowych". Z głową płonącą i rozterką w duszy udał się natychmiast do wskazanej miejcowości. Właściciel przyjął go z przesadną uniżonością, a wysłuchawszy jego relacyj, wypowiedzianych urywanie i bez związku, zakomunikował, że wszystko składa się jak najlepiej, że szczęście mu sprzyja wielkie, gdyż Yuki naprawdę znajduje się w jego herbaciarni. Udzielając jednak pozwolenia na zobaczenie się z nią, byłby zmuszony zażądać pewnej drobnej zapłaty. Gdyby natomiast dostojny barbarzyńca zapragnął zabrać ją ze sobą, wynagrodzenie trzebaby znacznie podwyższyć.

Jack rzucił do ręki małego człowieka garść monety. Rozjaśniły się oczy gospodarza blaskiem zadowolenia i — odrazu upadły wszelkie dalsze wątpliwości. Jack towarzyszył mu po schodach do pokojów wybitniejszych gejsz. Do jednego z nich wprowadzono go dosyć bezceremonjalnie.

Dziewczę, siedzące na macie, wyciągało ku niemu swe ręce i przykładało z powrotem do pochylonej głowy. Jack przyglądał się jej z zapartym oddechem. Twarz miała ukrytą a nadto w pokoju panował lekki półmrok. Gdy jednak zbliżył się do niej i drżącemi od najgłębszego wzruszenia uniósł ją rękoma wówczas ujrzał jej twarz... Lecz była to twarz obca mu zupełnie! — — —

Jack zapadł teraz lekko na zdrowiu, co przeszkadzało mu w dalszych poszukiwaniach. Mimo to nie spoczął i nakazanych sobie czynności nie zaprzestał. Gorączką strawiony, słaby i wychudły — cień dawnego Jacka — udał się znowu do stolicy na główną stację policyjną.

Uczynili wprawdzie już wszystko, co tylko było w ich mocy, ale—oni ludzie maleńcy, owi japońscy urzędnicy policyjni dobre mieli serca. Szef ich wymyślił na poczekaniu historyjkę, której nie potrzebowałby się powstydzić i najgienjalniejszy bajkopisarz japoński.

Yuki zamieszkała gdzieś w ukryciu w sąsiedztwie zatoki Matsuszima, na północnem wybrzeżu Japonji w pobliżu miasta Sendai, położonego nad dopływem rzeki do Oceanu Spokojnego. Była to miejscowość, do której uciekali przedewszystkiem wszyscy nieszczęśliwie zakochani. I szef policji otrzymał był właśnie rzekomo najpewniejszą pod słońcem wiadomość, że w tym zakątku kraju widywano dziewczynę, podobną do rysopisu Yuki. Przedłożył nawet jakiś po japońsku napisany a trudny do odcyfrowania telegram, który rzekomo ową wiadomość przynosił. Radził więc Jackowi szczerze, aby pojechał tam na czas dłuższy. Okolica bowiem, którą powinien tam dokładnie zbadać, jest bardzo rozległa, i łatwo zdarzyć się może, że nie znajdzie jej natychmiast, lecz wcześniej lub później wykryje ją tam z pewnością.

Opowieść ta, wyrecytowana bez zająknienia, wywarła na Jacku wrażenie, tem większe, że Yuki nieraz już o miejscowości tej mu opowiadała, i że

postanowili nawet któregoś dnia urządzić tam kilkodniowa wycieczkę. Wyjechał więc natychmiast a w sercu jego zagościła nadzieja promienna, jakiej nie był zaznał od miesięcy.

Szef policji z zadowoleniem trzepnął palcami, pokiwał głową i potrząsnął obfitą monetą, jaką otrzymał był od Jacka.

— Naiwni są ci biali nieboracy, — zauważył do swego asystenta.

Asystent przytakiwał w szerokim uśmiechu.

— Wierzą każdemu kłamstwu.

Przełożony jego zmarszczył brwi.

— Jakby nie było, czyni się to wszystko tylko dla jego dobra, — odparł tonem surowym.

Do Sendaju przybywszy, zamieszkał Jack w pewnej małej japońskiej gospodzie, skąd odbywał codziennie wędrówki na plażę cudnej zatoki. Było tu tak, jak Yuki ożywioną i bujną swoją fantazją barwnie opisywała. Widział tu skały niezliczone, porozrzucane dokoła o wielkości i kształtach najróżniejszych; widział rosnące na nich świerki najosobliwszych gatunków, i olbrzymią skałę granitową, zwaną „Hadakadżima“ czyli „nagą wyspą“. I patrząc na te dziwy przyrody, przypomniały mu się wszelkie te piękne baśni, które Yuki z miejscowością łączyła, a które brzmiały tak nieprawdopodobnie i tak marzycielsko uroczo, jakoby opowieści o rusałkach poety wschodniego. Ożyły w nim wszelkie wspomnienia, i pod kojącym wpływem piękna otaczającej go przyrody, śnił najawie sen dziwny, cudny, podniosły w swym mistycyzmie. O, ten krajobraz, obramujący zatokę!

Zbocza i wzgórza i góry wysokopienne na planie dalszym już to połyskiwały tysiącem barw słońca południowego, już też zginęły zprzed oka otulone w dziewiczą biel mgły porannej. Płatki śniegu, obciążające gałązki świerków, zwisały niby gwiazdy lśniące; czasami spadały na skałę, aby tam w lód się zamienić lub łzą wielką spłynąć do zatoki.

I mimo braku jakichkolwiek faktycznych podstaw, uczepił się kurczowo promyków niejasnej nadziei, że Yuki zamieszkała istotnie w tym zakątku zacisznym, oddalonym od okolic, gdzie tak bardzo kochała i cierpiała. Z niezachwianą bowiem pewnością Jack wierzył, że Yuki kochała go istotnie; rozpatrywał obecnie kolejno wszelkie dowody jej miłości, jakie mu okazywała w całym czasie ich pożycia małżeńskiego, — a świadomość tego w chwili obecnej, gdy tak niewymownie cierpiał z powodu jej straty, działała na niego kojąco i pokrzepiająco.

Lecz piękno przyrody Matsuszimy nie uspokoiło bynajmniej jego duszy, ponieważ był samotny. Tutejsza cisza i głębokie milczenie, smukłe świerki, które słaniały się wdzięcznie w lekkich powiewach, wszystko to zadowoleniem swem zdawało się z niego szydzić. Zatoka była zachwycająca — owszem, ale ożywiały ją obrazy jego wyobraźni; wszakże plaży tej dotykały drobne stopy Yuki, jego najdroższej Yuki.

W małej wiosce nadbrzeżnej, zamieszkałej przez nielicznych, biednych, lecz uczciwych rybaków, usiłował Jack upewnić się, czy nie wiedziano

czegokolwiek o tej, której poszukiwał. Ale i oni opowiadali baśni o rusałkach. Dawnego czasu przebywało na pobrzeżu Masuszimy bardzo wiele czarodziejek; bardo wiele dziewcząt, które z powodu nieszczęśliwych historyj miłosnych postradały rozum, tu właśnie szukały schroniska. A duchy tych nieszczęśliwych, które w śmierci szukały szczęścia, jakiego poskąpiło im życie, pojawiają się obecnie na wybrzeżu zatoki.

O tem, że życie tego nieznanego cudzoziemca, któremu żona zniknęła, czeka taki sam koniec, biedni rybacy byli aż nadto przeświadczeni.

Tak tedy Jack, trawiony gorączką tęsknoty błądził po wyspach japońsk.ch, jako ten, co to, szukał swej duszy, którą nieopatrznie był zagubił.

Dominującą cechą charakteru Jacka była pogoda słoneczna, ale także — choć w nieco mniejszej mierze — porywczość i szlachetność. Dawniej nie byłby go nikt podejrzewał o zdolność głębszego uczucia lub poważniejszego dążenia do celów wyższych. Cierpienie jednak odkrywa niekiedy takie własności, które do czasu spoczywały uśpione pod skorupą przypuszczalnej powierzchowności i płytkości.

W sercu jego zbudziła się do życia wiecznego miłość ku Yuki głęboka, trwała, święta, która zasłoniła mu świat cały. Myśl o niej towarzyszyła mu stale. I były chwilę, kiedy zapomniał o stracie swej bezcennej, a wówczas myśl jego szybowała w krainę wspomnień, gdzie ponownie przeżywał w swej wyobraźni ostatnie, najcudniejsze lato swego życia. Yuki stała się cząstką jego

duszy; w sercu jego przebywać będzie dopóty, dopóki ono bić nie przestanie.

XVII.

Wędrówki Yuki.

Gdyby Jack podążył był za Yuki nocy onej, kiedy to zniknęła z domu jego i życia, byłby przynajmniej się dowiedział, że nie znajdzie jej w całej Japonji. Uciekła od niego i Tara, jedną tylko owładnięta myślą — usunąć się na zawsze z życia swego brata, brata, którego kochała a który ją odepchnął od siebie, którego zbezcześciła swem postępowaniem. Zwróciła się najpierw w stronę Tokio; z głową zwieszoną i płacząc niby dziecię małe, które w ciemności zmyliło drogę, podrepciła ślepo naprzód aż do samego miasta.

Nie miała najmniejszego pojęcia, dokąd się ma udać, co począć; wszystkie jej zmysły opanowane były cierpieniem ostatnich zajść. Błąkając się jednak po mieście bez celu i planu i popłakując z cicha, przypomniała sobie nagle pewien adres — adres, wypisany na bilecie, wręczonym jej przed miesiącami przez amerykańskiego dyrektora teatru, znajdującego się w towarzystwie Jacka. Wówczas odczytała była adres uważnie, i do dziś dnia zachowała go w pamięci, jakkolwiek nie pamiętała nazwiska, którego, prawdę mówiąc, nigdy nie umiała odcyfrować.

Podążyła więc w kierunku domu Amerykanina, który odnalazła wreszcie, zmęczona nadmiernie zdenerwowaniem i daleką drogą. Gadatliwy służący, Japończyk, odpowiadając na nieśmiałe za-

pytanie Yuki, twierdził, że owszem, Amerykanin jest w domu; tydzień zaledwie minął, jak wrócił z dalekich krajów południowych, a za dwa dni zamierza znowu wyjechać. Czy pragnie się z nim zobaczyć? Być może, że śpi.

Yuki prosiła, że chciałaby zobaczyć się z nim tylko na minutę, więc służący zniknął w dalszych pokojach. Niebawem nadszedł dyrektor z miną gniewnie nastroszoną. Ujrzawszy ją jednak, rozpogodziła mu się twarz w radosnym uśmiechu.

— Czyż to nie ta dzieweczka, której śpiew słyszałem niegdyś w ogrodzie herbaciarni? — zawołał wesoło. — Chodź że do pokoju!

Opierała się początkowo, ale ostatecznie weszła.

W dwa dni później Yuki na pokładzie „Yokohama Maru" opuściła swą ojczystą Japonję.

Zaledwie statek podniósł kotwicę, zamknęła oczy i w lęku jakimś nieokreślonym uchwyciła się poręczy. Dokoła siebie słyszała pogwar i uśmiechy pasażerów, niektórzy z nich wybuchali rozgłośną radością, powiewając chorągiewkami i chusteczkami ku pozostałym na wybrzeżu przyjaciołom. Statek oddalał się coraz bardziej, zniknęły już nawet kontury wybrzeża zatoki, a Yuki, zziębnięta i drżąca, wciąż jeszcze kurczowo trzymała się barjerki.

Ktoś otoczył ją ramieniem, więc wzdrygnęła się z przerażenia, jak gdyby pod wpływem nagłego uderzenia.

— Biedne maleństwo! Czyżby miała cię już nękać morska choroba? — zapytał miły, dźwięczny głos kobiecy.

Yuki smutnie spojrzała na pytającą. Zdawała się rozpoznawać w niej żonę dyrektora, starała się przeto skupić zwichrzone swe myśli, ale napróżno; milcząco patrzała w sympatyczne oblicze dyrektorowej, a tylko oczy, te niepomiernie smutne i boleściwe oczy wyrażały cały ogrom tragedji jej duszy.

— Ależ ty drżysz cała i jesteś zimna, niby — — — James, chodź tylko! — Odwróciła się, przywołując swego małżonka, który też przybiegł natychmiast.

— Spojrzyj tylko, ona już zaniemogła. Należałoby sprowadzić jaką posługaczkę i ułożyć ją natychmiast do łóżka!

Rozebrali ją — była jakby dziecię bezwolne, — i ułożyli troskliwie do łóżka małej kabiny, która Yuki, znajdującej się poraz pierwszy w życiu na okręcie, wydała się niby klatka mała, lub zgoła grób, do którego wniesiona ją, zmęczoną i wyczerpaną, aby tu wydała ostatnie tchnienie swego żywota.

Leżała samotna, podczas gdy hałaśliwa krętanina na pokładzie i głuchy łomot fal rozbrzmiewał w jej uszach, niby melancholijny, gdzieś w ciemną dal uciekający odgłos dzwonów wieczornych.

Pielęgniarka oznajmiła dyrektorowej, byłej śpiewaczce operetkowej, że chora już śpi; gdy jednak serdeczna ta niewiasta zajrzała do niej po pewnym czasie, zastała ją leżącą wprawdzie w łóżku, lecz z oczyma jak szeroko rozwartemi. Wpadła więc z rozmachem do maleńkiego pokoiku, usia-

dła tuż obok biednego, umęczonego dziewczęcia i obrzuciła ją przyjaznem spojrzeniem.

— Podobna jesteś do ślicznego, rozkosznego obrazka na moim wachlarzu, — odezwała się po chwili. — Jesteś naprawdę najpiękniejszą z pięknych Japonek, jakie kiedykolwiek widziałam. Myślę, że zaprzyjaźnimy się szczerze, czy nie tak?

Yuki mogła ledwie głową skinąć na znak potwierdzenia. Zamknęła oczy.

— Przecież nie czujesz się bardzo chora, prawda, że nie? — ciągnęła dalej Amerykanka. — Obawiałam się, że rozchorujesz się nam na dobre. Wiesz, mój mąż jest najzacniejszym wśród wszystkich tych, którzy się dokoła nas gromadzą; niema wogóle wśród nich takiego, któryby mnie się podobał. I cóż, czy nie pięknie z mej strony, że się przed tobą tak ze wszystkiego zwierzam?

— Powinnam ci dziękować, — odparła Yuki głosem słabym. — Ale ja za bardzo zmęczona, aby być uprzejmą.

— W takim razie będzie najlepiej, dzieciaczku ty mój, jeżeli pozostaniesz sama; — zaczem ucałowawszy Yuki, opuściła kabinę.

Z tą chwilą jednak, gdy drzwi za dyrektorową się zamknęły, z chwilą tą i zmęczenie Yuki zdawało się pierzchnąć. Drżąc z lekka, uniosła się z posłania i — poczęła się ubierać z nerwową szybkością. Daremnie usiłowała otworzyć drzwi kabiny. Nie przywykła była jeszcze do tych dziwnych drzwi, które otwierać było można jedynie przy pomocy klamek i zasuwek. Wychowała się w kraju, w którym zamki i zasuwki są niemal zu-

pełnie nieznane, gdzie szodźi rozwiera się przy najlżejszem dotknięciu ręką. Pchała więc drzwi z całych sił, ale ponieważ nie dotknęła klamki, drzwi pozostały nieporuszone. Ogarnął ją przestrach. W rozgorączkowanej jej główce załomotała nagle myśl przerażająca, że na zawsze uwięziono ją w celi tej małej, ciemnej, o maleńkiem zakratowanem okienku, o które bezsilne biły fale.

Ponownie rzuciła się na drzwi i uderzała w nie gwałtownie swemi drobneni piąstkami; czuła, że traci przytomność, że wszystko dokoła niej tańczy, podczas gdy statek pod jej nogami kołysał się i chybotał. Coraz bardziej olbrzymiało w niej uczucie przerażającej pustki i tęsknoty za domem rodzinnym; nagłe wstrząśnienia i podrzuty okrętu przejmowały ją trwogą. Świadomość zaś tego, że coraz bardziej oddala się od swej ziemi ojczystej, że w światy nieznane płynie na morzu otchłannem i bezkresnem, napełniała ją grozą niepojętą, jakiej nigdy dotąd nie przeżywała w swem życiu — — —

W nagłym, męczącym pospiechu ostatnich kilku dni przed wyjazdem w sercu dziewczęcia jedno tylko żyło pragnienie — pragnienie jak najszybszego oddalenia się od widowni jej cierpień! Teraz jednak nastąpiła reakcja i owładnęło nią przerażenie z powodu tego, co uczyniła. Wspomnienie, przytłumione na krótko pod wpływem druzgocących przejść, które ją oślepiły, — wystąpiło teraz z całą mocą i domagało się swoich praw twardo i nieubłaganie. Rękoma ściskała głowę, jakgdyby chcąc precz odegnać bezlitośne duchy, które ją dręczyły.

Podobnie jak widziadła senne przesuwały się przed nią majaki własnych jej przeżyć — szczęśliwe lata dziecięce w towarzystwie brata, ich miłość wzajemna zdolna do poświęceń, jej smutek z powodu wyjazdu jego do Ameryki, długie miesiące zmagania się, które potem nastąpiły, ofiary, jakie dla niego ponosiła, jej wysiłki w celu uzyskania środków dostatecznych na pobyt jego w Ameryce — a potem jej małżeństwo! I potem o niczem więcej już nie myślała, jak tylko o jednem — o tej bezgranicznej miłości swego męża. Serce jej targała tęsknota niepomierna, graniczącа z obłędem, tęsknota za głosem jego, za temi dobremi oczami, za widokiem jego i za jego miłością.

Minęły trzy dni i w zdrowiu Yuki zaszła zmiana na lepsze. Przyzwyczaiła się do niespokojnego kołysania statku. Za zgodą i przy pomocy pielęgniarki wydostała się na pokład, gdzie gromada pasażerów gawędziła wesoło i bawiła się doskonale.

Tęskniła za tą chwilą, gdy nabierze więcej sił, aby móc wydostać się z swego więzienia, którem to mianem określała ciasną kabinę. W szczególniejszym chaosie myślowym, jaki wytworzył się był w jej umyśle, wyobraziła sobie, że opuściwszy kajutę, ujrzy znowu wybrzeże swej ojczyzny, że będzie mogła rozradować swoje oczy widokiem jasnego szczytu Fudżiyamy, zarysowującego się na lazurowym nieboskłonie.

Przysłoniwszy jednak oczy od słońca i spoglądając w dal, nie ujrzała nic, krom wielkiej, zimnej beznadziejnej powierzchni wód, miotających się

w falach spienionych, które układały się, niby igrając swawolnie, to znów piętrzyły się, niby grożąc zagładą.

W miesiącach, które teraz upływały, doznawała Yuki ze strony dyrektora i jego żony objawów największej serdeczności. Odbyła z nimi podróż do Chin, Indyi, na wyspy Filipińskie, a wreszcie do Australji. Z wszystkich tych krajów wiódł dyrektor ze sobą pstrą zgraję kuglarzy, tancerzy pożeraczy ognia, szermierzy i aktorów wszelkiego rodzaju, przy pomocy których zamierzał w Ameryce zdobyć fortunę. Interesa te połączył z podróżą dla przyjemności, gdyż odbywał jednocześnie swą podróż poślubną.

Czasami i najweselsze i najlekkomyślniejsze kobiety światowe posiadają dziwny dar wnikliwości. Podobnym darem obdarzona była również i dyrektorowa, która na wylot przejrzała niezwykłą wrażliwość i lękliwą nieśmiałość małej niebiesko-okiej Japonki, ku której pociągało ją od pierwszej chwili uczucie niepomiernej sympatji.

Wzięła Yuki pod swoją osobistą opiekę, troszcząc się o nią jak matka i broniąc jej przed nagabywaniem ze strony osób trzecich. Mimo to wiele upłynęło miesięcy, zanim usłyszała historję jej życia. Stało się to zaledwie na dni kilka przed zamierzonym odjazdm do Ameryki, tego wielkiego kraju Zachodu, do którego — jak sądziła Yuki — było bardzo daleko, tak przynajmniej, jak do gwiazd uwieszonych na firmamencie.

W miarę zbliżania się czasu odjazdu, który, nawiasem mówiąc, przedłużył się znaczniej, niż to

przewidywał był dyrektor, Yuki stawała się coraz bardziej przygnębiona i coraz to niespokojniejsza. Amerykanka, posiadając wyobraźnię nieco przeczuloną, zapewniała, że mała Japonka niknie w oczach, i że w ostatnim znajduje się okresie suchot.

Okazała się wobec Yuki niestrudzoną, nacierała na nią przy każdej sposobności, aż wreszcie wydarła jej zpod serca smutną opowieść tragicznego życia. Yuki, niby przed matką, spowiadała się, jak chorą się czuła i wyczerpaną z tęsknoty za domem rodzinnym, odkąd opuściła Japonję, — jak serce jej bić przestawało, ilekroć przypomniała sobie ostatnią rozmowę z swym bratem — jak ogromnie, jak bezgranicznie tęskniła za Amerykaninem, którego umiłowała i poślubiła „na małą tylko chwilkę".

I dobre, czułe serce Amerykanki ujawniło się w całej pełni, gdy wzięła Yuki w swe ramiona, gdy przycisnęła ją do piersi i łzy swoje serdeczne, współczujące zmieszała ze łzami Yuki.

— Nie pojedziesz do Ameryki, — powiedziała wreszcie, uspokoiwszy się cokolwiek, — Prosto stąd powrócisz do Japonji. I to w mojem towarzystwie.

— Ale... — Yuki stawiała słaby opór.

— Żadne „ale". Pojedziesz i koniec! Wiem, że mąż mój ma zamiar wsiąść na okręt za tydzień. Nie pojadę z nim, lecz z tobą!

XVIII

Gdy wiśnie zakwitły...

Latem barwią się pola i łąki Japonji tysiącem jaskrawych kwiatów — cała płaszczyna nizinna jaśnieje i mieni się lśniącym połyskiem kwiecia azalji. A koło domków ludzkich najczarowniejsze ogrody. Wiszące sady liljowych glicynji, przepyszne obszary irysów smukłych, aksamitnych, grzędy peonji o bladych barwach i płatkach niezmiernej delikatności, kamelje białe i rubinowe, jakby krwią spryskane granaty, chrzantemy blade i rozwiane... Jesienią zarówno liście jak i kwiecie przybiera wszelkie odcienia barw nieba i ziemi, zimą zaś, jak zwykło się mówić, spoczywają bogowie w śnie zasłużonym po pracy znojnej w miesiącach ciepłych. Na wiosnę jednak budzą się znowu i w odrodzonej swej, kipiącej radości młodzieńczej błogosławią góry i doliny, łąki i lasy, i tyle okazują łask i szczodrobliwości, jak w żadnej innej porze roku. Jest to czas kwicia wiśni; czas, gdy ptaszki w weselnych łączą się pocałunkach, gdy z zadowoleniem pomrukują strumyki, gdy rozwija się wszelka ta piękność odradzającej się przyrody.

Dwa lata minęły od dnia, w którym to Jack i Yuki w święto wiosny zawarli związek małżeński. Jack wrócił do Tokio; przywołał go telegram policji głównej, a teraz przygotowywał się do powrotnej podróży do Ameryki, dokąd Yuki — według stwierdzeń policji — wyjechała z całą pewnością. Mieszkał w hotelu amerykańskim w śródmieściu. Dnia tego serce jego kołatało bardziej

boleśnie, niż kiedykolwiek: żądza jakaś nieokreślona trawiła go i pchała do małego domku, który przecież oddalony był zaledwie o kilka kilometrów, a za którym tęsknił, bojąc się równocześnie jego widoku.

Obecnie, gdy stanął przed decyzją opuszczenia Japonji, gnębić poczęła go myśl o straszliwej możliwości, że Yuki przebywa może w kraju, i że on, przeprowadzając swój zamiar, oddali się od niej o tysiące mil. I obawa tą rosła w nim, mimo istotnie przekonywujących dowodzeń szefa policji, według których wyjechać miała do Ameryki w towarzystwie pewnego impresarja, tego samego, który — jak to udowodnić może świadkami raz już swego czasu namawiał ją do takiej podróży.

W przeddzień wyjazdu, po południu, smutek i przygnębienie wyrosły w nim do granic ostatecznych. Bez planu i myśli wyszedł z hotelu i błądził po ulicach Tokio. Zaczem wsiadł do dżinrinkiszy, rzucając kurumai rozkaz zawiezienia go do minjaturowego domu, w którym ongi mieściło się ognisko jego i Yuki, a którego progu od czasu swego powrotu do stolicy dotąd nie przestąpił.

Jakby w śnie migały przed jego oczyma zaznaczające się w mglistych zarysach nieskończone pasma pól ryżowych, góry niebieskie i doliny. A równocześnie zauważył na pół przytomnie, że pięty kurumaja były zupełnie twarde, jakby zasuszone na słońcu. Yuki zwróciła mu niegdyś na szczegół ten uwagę.

— U koni jest tak samo, — powiedziała wówczas. — Jest to wynikiem ustawicznego biegania. Bogowie w litości swej ochronili im nogi od bólu.

I, o dziwo! Krajobraz tak dobrze mu znanej okolicy nie wywołał już w nim żadnych przykrych cierpień. Opanowało go teraz uczucie niewysłowionego spokoju, jak tego wędrowca, który daleką odbywszy drogę, zbliżał się do swej zagrody. I ani się spodział, jak kurumaja stanął nagle w miejscu, odwrócił się i czekał na zapłatę.

Czy ma pokornie czekać, czy jego wysokość zechce wrócić do miasta?

— Chwileczkę tylko, — odpowiedział Jack bezwiednie. I poprzez nizką bramę ogrodową wszedł na żwirem wysypaną wązką ścieżynkę, wijącą się wśród szpaleru kwitnących wiśni, których korony, łącząc się górą, tworzyły coś w rodzaju altany cudnej, obsypanej puchem bladoróżowym.

A gdy doszedł do drzwi domu, otworzył je i — zatrzymał się niezdecydowany. Serce jego załomotało, jak gdyby rozsadzić chciało pierś. Wszedł, w pierwszej chwili ogarnęła go ciemnia pokoju, rozpływająca się w półmroku; ale niebawem począł rozpoznawać przedmioty i dreszcz zachwytu wstrząsnął jego całą istotą. Był to jednak dreszcz zachwytu nad wyraz bolesnego.

Wrażenie, jakie na nim mieszkanie dawne wywarło, było tak wielkie, że obawiał się nawet oddychać. Bał się poruszyć, aby nie rozwiał się ten czar widmowy i zwodniczy, niby potęgą sił nadprzyrodzonych wywołany; do bezgranicznego bowiem bólu, jaki rozpłomienił się w sercu jego, sączyła cicha, przedziwnie ukojna, cudowna radość. Szczątek dawnych doznanych tu rozkoszy.

I przyszły mu na pamięć jej ciche, szeptane niemal opowieści, starodawne, tajemnicze romanse, w których tak bardzo była rozmiłowana. Co to była za baśn o duchu, który powrócił, i którego obecność wprawdzie odczuwano, ale którego żadne oko ludzkie nie mogło dostrzedz? Czy w tem wszyskiem nie wyrażała się pewna tajemna możliwość istnienia takiego ducha? Wszakże meble nawet i mata, wazy i hamak stary i jego cybuszek, wszakże każdy drobiazg z osobna i wszystkie razem, przypominały mu jedną istotę — istotę tej, którą kochał.

Krokiem niepewnym, cichym, skradającym się przeszedł przez pokój i w końcu pochylił się, aby dotknąć misternego bębenka, którego mikroskopijne pałeczki leżały połamane tuż obok. I przypomniał sobie, że złamała je natychmiast, gdy któregoś dnia mimochodem wyraził swą niechęć do tego instrumentu. Lubił grę na koto i samisenie, bębenka nie cierpiał; posługiwała się nim chętnie wówczas, gdy zamierzała go wyśmiać. Widok złamanych pałeczek w tej chwili wywołał w sercu jego ból; nakrył je przeto chusteczką, jak gdyby świadkiem były jakiejś strasznej zbrodni.

— Jakże upiorny jest dziś ten dom, — powiedział głośno i przeraził się, gdy wśród martwej ciszy pokoju rozległo się echo przedrzeźniające jego głos.

— Chyba tu oszaleję, — powiedział, a echo powtórzyło głucho: „oszaleje! oszaleje!“

Potem siadł na taboreciku, ukrył twarz w dłoniach i siedział tak nieporuszenie wśród ciszy.

Z daleka dochodził tu melancholijnie-słodki dźwięk dzwonów sąsiedniej świątyni, który znowuż zatargał serce jego bólem nieopisanym. Ileż wspomnień wywoływały w nim te dzwony! Teraz jednak dźwięk każdy zdawał się opowiadać o nadziejach zawiedzionych i strasznej rozpaczy. W słodkiej ich monotonji brakło kojącego pocieszenia Czyż nie zamilkną wreszcie? Dlaczego biją tak rozgłośnie? Dawniej nigdy nie rozbrzmiewały tak głośno; dziś cały kraj napełniają swym jękiem, a duchy tego domu odpowiadać się zdają echem westchnień jakichś głębokich i poszeptów niezrozumiałych.

Wtem do monotonnych dźwięków dzwonów wplątała się przedziwna muzyka, zrazu cicha, tajemna, niewypowiedzianie piękna, anielska, jak gdyby mu znana, która niebawem uderzyła akordem mocnym, tłumiącym podźwięk dzwonów. Jack zerwał się, drżąc na całem ciele, niby w ataku febry. Wsłuchiwał się chwilę i — powoli rozpoznał wyraźnie dzwięk głosu i słowa mowy rusałek, którą był umiłował.

Powoli, bezwiednie, na pół przytomnie, jak gdyby ręką prowadzony niewidzialną a pieszczotliwą, szedł naprzód, po krętych schodach domu dotarł do otwartego na oścież pokoju Yuki, i tu zatrzymał się na progu, jak ktoś, co daleką odbywszy drogę, spocząć musi, by zaczerpnąć tchu.

Wszakże oprócz niego w pokoju tym znajdowała się jeszcze druga istota; czuł to i widział, a pojąć nie mógł. Widział ją przecież wyraźnie, widział ją taką samą, jaką była za życia — wi-

dział jej małą, połyskującą główkę, jej cudowne, nad wyraz małe ręce, jej duże, niebieskie, zamglone nieco oczy i te usta małe z bolesnym dokoła wyrazem ostatnich dni ich pożycia. Jakby w rozmarzeniu stała przed zwierciadłem z wzniesionemi w górę rękoma i wpinała w swe włosy z obu stron pęki kwiecia wiśni. Zamilkły wreszcie dzwony, nastała cisza. Odwróciła się powoli i — wzrok jej padł na wspartego u progu mężczyznę.

Nie była ona z tych, które krzyczą z przerażenia lub mdleją; nie — ona tylko zbladła jak trup i stała w miejscu nieporuszenie niby posąg. Po chwili dopiero wzniosły się jej oczy ku twarzy jego i tam wbiły się w niego z siłą nadziemską, sugiestywną.

I patrzeli tak na siebie chwilę dłuższą, podczas gdy serca ich zdawały się zamierać z nadmiaru wrażeń. Wreszcie Jack, zdobywszy się na rozpaczliwy wysiłek, oderwał się od progu i postąpił krok naprzód, a ona wypuściwszy z rąk kwiaty, podążyła ku niemu. W mgnieniu oka przygarnął ją do siebie. I do piersi przyciskał i tulił, a jeżeli zwolnił swój uścisk, to po to jedynie, aby obląć ją od nowa, pospiesznie, jak gdyby w obawie, że mogłaby mu zniknąć i znowu pozostałby sam jeden z straszną w sercu tęsknotą. Oszalały, bez pamięci powtarzał tylko szeptem: — „Yuki! Yuki! Żono moja! Yuki!“ —

I nie nagabywali siebie pytaniami o lata rozłąki, na to mieli jeszcze dosyć czasu w przyszłości.

Teraz stapiali się w uczuciu radosnem, że wreszcie siebie odnaleźli.

Ktoś wszedł cicho do ich domu i pospiesznie wbiegł po schodach. Była to Amerykanka. Patrzała na nich wzrokiem osłupiałym ze zdumienia.

— Boże! — wybuchła, i z głośnym szlochem zbiegła na dół z powrotem.

— Co za romans! Jakiż to przystojny mężczyzna! A ja — o Boże, utraciłam ją teraz na zawsze! Co za utrapienie z tymi mężczyznami! — i wskoczywszy do Jacka dżinrikiszy, kazała się odwieść coprędzej do Tokio.

Tymczasem Jack i Yuki zeszli na dół do ogródka. Ręce jej pieszcząc, patrzał na nią oczami rozmiłowanemi; oczy jej czarowały go, jej usta wywoływały w nim rozkoszne dreszcze.

A blado różowe kwiecie wiśni spadały na nich deszczem puszystem, a ptaszki ukryte zawodziły i świegotały upojną pieśń wiosny. Jack pochylił się i w skupieniu uroczystem ucałował jej włosy, a ona zaśmiała się radośnie i zadrżała pod wpływem dotknięcia ust jego.

— Kocham cię całem sercem! — powiedział — Ale nie wyśmiewaj mnie teraz nigdy, dobrze?

— Mój władco kochany, ja nigdy już z ciebie się nie śmiać. Ja śmiać się teraz z wielkiej radości, że jestem przy tobie!

— Zabiorę cię ze sobą do mej ojczyzny, — przyrzekł.

— Ja towarzyszyć tobie aż na koniec świata i dalej, jeszcze, — zapewniła.

— A potem, kochanie, powrócimy tu i podejmiemy i spoimy na nowo pozrywane nici naszego życia.

— I nigdy już nie pozwolimy im się zerwać.

— Aż do śmierci, — dodał Jack.

— Nie, nie tak! Wiara moich przodków mówi My być jedno na wieki!

— Tak, na wieki! — powtórzył Jack.

KONIEC.

Printed in Poland